№ 28. Warszawa, dnia 13 (1) Lipca 1889 r. Rok IX.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



*Od dnia 5 lipca Redakcya PRAWDY mieści się przy ulicy Marszałkowskiej (róg Żórawiej) pod nr. 95.*

## POLITYKA.

### RUCH SŁOWIAŃSKI.

Jeżeli o jakiej epoce, to o naszej rzec można, że w niej spotkały się sprzeczności. Istotnie, prawie wszystkie narody przedstawiają dziwny widok: albo gór wulkanicznych, w których pod twardą i zimną powłoką wre rozpalona lawa, albo też rzek, w których łożysku wierzchni nurt płynie wstecz, a spodni rwie się naprzód, oba zaś tworzą nieustanne wiry. Obok skostniałej, w dalekie czasy sięgającej reakcyi spotykamy śmiałe lub szalone rzuty naprzód; obok przestarzałych wstecznictw, gwałtowne prądy radykalne. Zdaje się, jak gdyby umysły tegoczesne obrzydziły sobie teraźniejszość i jedne usilują cofnąć się do odległej przeszłości, drugie skoczyć w oddaloną przyszłość. Przeciwieństwa te występują zarówno w życiu umysłowem, religijnem, jak społecznem i politycznem, wszędzie ostre, wszędzie zajadłe i nieprzebłagane.

Do niedawna jeszcze naród czeski wyglądał jak gdyby z jednego odlewu, stanowił jedną zgodną rodzinę. Zdarzały się starcia i różnice w poglądach, ale zawsze łagodne i zamknięte w granicach krótkotrwałej waśni domowej. W naszych oczach, w oczach pokolenia średniej miary wieku wyrośli nagle młodo-czesi; ci w ciągu lat kilkunastu z garstki junaków, zapaleńców i krzykaczów stali się stronnictwem wpływowem, które przy ostatnich wyborach do sejmu wyszło z urny tak zwycięzkiem i pomnożonem, że zdumiało zarówno swych przyjaciół, jak wrogów. Z sześciu głów wyrosło do czterdziestu — przemiana dziwna, nieoczekiwana i bardzo ważna. Zastęp staro-czeski nietylko stracił $^3/_4$ swych szermierzy, których „trupy pokryły pole wyborcze" — jak powiada jedna z tryumfujących gazet prazkich, ale postradał wiarę w siebie i urok w kraju. Jeżeli stary, powszechnie czczony, dotychczasowy wódz narodu Rieger ocalał zaledwie większością 9 głosów w dawnym swym okręgu, to można zwątpić o dalszem powodzeniu jego drużyny i jej sztandaru. To też nie dziwno, że zgnębiona porażką chciała w pierwszej chwili ustąpić dobrowolnie i zupełnie z areny politycznej.

Jak rzekliśmy, zdumiewający wynik tej walki ma doniosłe znaczenie. Przedewszystkiem, naturalnie, dla stosunków miejscowych. Młodo-czesi nie będą mieli w sejmie jeszcze większości, chyba w połączeniu z niemcami, jeśli tem przymierzem nie pogardzą; ale będą stanowili bardzo poważną opozycyę, która przeciwników sterroryzuje olśniewającym tryumfem, swą śmiałością i oparciem w narodzie. Należy bowiem pamiętać, że wyszli oni z łona drobnej własności, a więc z ludu, który w Czechach, bardziej niż gdziekolwiek, jest żywiołem pierwszorzędnej wagi. Oni najsłuszniej nazwać się mogą przedstawicielami kraju. Ponieważ nie zapanują nad położeniem, więc nie umiarkują swych żądań, które opadają zwykle o kilka stopni w chłodzie zdobytej władzy, staro-czesi zaś, pragnąc, ażeby przeciwnicy nie przelicytowali ich w wymaganiach i nie pozbawili reszty gruntu, będą świadomie i bezwiednie zwracać się na ich drogę. Ale wpływ ten nie kończy się na sejmie krajowym. Dotąd staroczesi, mając w nim powagę, mianowali się zasadnie pełnomocnikami swego narodu i w wiedeńskiej Radzie państwa; teraz już to prawo w znacznym stopniu postradali. Wreszcie niedługo nadejdą wybory do parlamentu austryackiego, w którym powtórzy się zapewne ten sam przewrot: młodo-czesi wejdą doń w liczniejszym składzie, wypowiedzą sojusz prawicy i wyważą hr. Taaffego a z nim cały system obecny. Są to dopiero przypuszczenia, ale przypuszczenia bardzo prawdopodobne, z któremi już dziś liczyć się należy.

Ale i tu jeszcze nie koniec następstw. Jakkolwiek p. Gregr jedną ręką wywraca Austryę a drugą stawia ją na nogi, należy on z całym swym zastępem do przyjaciół Rosyi. Zwycięztwo tej sympatyi przy wyborach czeskich łączy się z pokrewnymi objawami śród innych ludów słowiańskich na półwyspie Bałkańskim. Czytelnicy już wiedzą, jak wyraźnie ku tej stronie pochyliła się Serbia podczas uroczystości koronacyjnej. *Małe Nowine* (według *Sław. Korresp.*) opowiadają, że gdy Milan chciał wrócić na jakiś czas do kraju, regenci odradzili mu to z całą stanowczością, a nawet groźbą. „I oto — powiada gazeta — wczoraj jeszcze wszechmocny król Milan, dziś faktycznie wygnany z Serbii. Wczoraj w jego rękach było wszystko, dziś — nic. Co to za wielka lekcya historyi! Czy król Milan myślał kiedykolwiek, że będzie z obnażoną głową pukał do drzwi swojego królestwa i że głos Sawy Gruicza powie mu: „niewolno!" I Milan będzie musiał odejść." Inna gazeta (*Swoboda*) otwarcie grozi Austryi, że jeżeli ona nie pogodzi się z Serbią, to „pewnego pięknego dnia kubańscy i dońscy kozacy napoją swoje konie w Dunaju pod Wiedniem, a stąd pomkną na równiny Węgier, gdzie ich pozdrowi braterskie, serbskie: hura!"

W Bułgaryi także budzi się przeciw Austryi niechęć. Dla monarchii Habsburgów zaś prawie tyleż warta dążność ludów słowiańskich do samodzielności, ile ich zaloty do mocarstwa sąsiedniego. W or-

ganie Strossmayera *Obzor* znajdujemy piękny i energiczny artykuł p. t. „Ateizm polityczny,“ wzywający chorwatów do podniesienia pochylonych głów: „W naszej smutnej ojczyźnie — czytamy tam — panuje letarg. Jest to płód nietylko naszego ucisku politycznego, lecz także nizkiego poziomu oświaty ludowej i rozpowszechnienia się zasad nowoczesnych, wypierających z życia społecznego wszystkie jego ideały i głoszących *trzeźwość*, a w istocie — uśpienie i ateizm polityczny. Bo i jakże inaczej nazwać chęć pozbawienia człowieka wiary we własne siły, skłonienia go, ażeby lizał gnębiącą go rękę, zginania karku przed mocnym, szukania korzyści materyalnych tam, gdzie nogami depczą jego świętość narodową? Ciężki grzech spoczywa na duszy tych, którzy, powołani do politycznego wychowywania narodu, głoszą ów ateizm. Ich to wina, jeśli dziś większość broni jedynie swych materyalnych interesów, jeżeli wielu zwątpiło o sile narodu. Realizm polityczny zburzył wiarę we wszystko, co podnosi duszę uciemiężonego. I dlatego mamy obowiązek być apostołami dawnych ideałów, które coraz bardziej zanikają między nami, apostołami tej niewzruszonej prawdy, że i narody nie żyją samym chlebem, lecz także słowem bożem, apostołami swobody i uczciwej pracy politycznej, ażeby tym sposobem obalić panujący obecnie przesąd, że tylko dziennikarze i posłowie nasi mają troszczyć się o dobro kraju i narodu, apostołami *chorwatyzmu* i słowiańśtwa, wielkiego, duchowego zjednoczenia Słowiańszczyzny — tę ideę powinniśmy zaszczepić w sercu narodu. Duchowieństwo, nauczyciele, każdy, kto ma styczność z ludem, winien nam dopomagać w dziele rozpowszechniania ideałów narodowych, umocnienia w masach ludu świadomości politycznej, wyleczenia go z rozpaczy. Bo jeśli stan taki potrwa dalej, to między nami okaże się mnóstwo takich „polityków realnych,“ którzy za dzieciństwo uważać będą wszelki poryw patryotyczny, niezapłacony gotówką. Precz więc z pustymi frazesami realizmu i zwątpienia: martwota panuje obecnie w Chorwacyi — jest to najlepszy grunt dla naszych wrogów.“

Ani takie hasła, ani nawet takie dźwięki nie mogą przyjemnie łechtać uszu Austryi i tych wszystkich, dla których samodzielność ludów słowiańskich i ich duchowe zjednoczenie jest myślą, przyżegającą najczulsze ich nerwy.

Z przytoczonych wyżej objawów czytelnik widzi, że ruch emancypacyjny śród słowian południowych wzmógł się znacznie i wielostronnie. Otóż jeżeli do tego ruchu odniesiemy również zwycięstwo młodoczechów w wyborach do sejmu, to ocenimy należycie doniosłość tego wypadku, a jednocześnie zrozumiemy, skąd powstają owe chmury i strachy wojenne, które prasa europejska znowu zaczęła wskazywać.

## Z NAD DUNAJU.

*Wiedeń, 29 czerwca.*

Delegacye w Wiedniu. — Przemowa cesarza.— Reorganizacya stronnictwa demokratycznego. — Sprawozdanie poselskie d-ra Kronawettera. — Nuncyusz papieski protektorem żydów. — Zniesienie tygodnika *Gleichheit*. — Ze świata artystycznego: aktorowie monachijscy i znaczenie sztuk ludowych.

Po raz dwudziesty piąty zeszły się delegacye austro-węgierskie na obrady wspólne. Jest to więc poniekąd sesya jubileuszowa, która rozpoczęła się w stolicy naddunajskiej pod przewodnictwem ks. Alfreda Windischgrätza i ks. Franciszka Zichego. Przy obieraniu komisyj odznaczono dwóch delegatów polskich: Jaworskiego obrano prezesem komisyi budżetowej, Bilińskiemu zaś powierzono referat o nadzwyczajnym kredycie dla armii. Mowy przewodniczących przy otwarciu delegacyj nie zawierały ustępów politycznie donioślejszych; z tem większem zajęciem oczekiwano przemówienia cesarskiego. Wiadomo, iż cesarz przyjmuje uroczyście delegacye w zamku, według ceremoniału zachowywanego od lat wielu, naprzód delegatów węgierskich w ich stroju generalskim, a po przemówieniu prezydenta delegacyj wygłasza mowę tronową w języku węgierskim. Pomówiwszy następnie z każdym opuszcza salę, gdzie gromadzą się delegaci austryaccy. Tych przyjmuje cesarz w austryackim stroju marszałkowskim, a odpowiedziawszy na przemowę przewodniczącego po niemiecku temi samemi słowy, obchodzi znowu całe grono. Obaj prezydenci delegatów dziękowali monarsze za utrzymanie pokoju, obaj, jako najgłębsze życzenia ludów austryackich, wnieśli prośbę o dalsze zachowanie go. Cała też mowa tronowa kręci się około kwestyi wojny i pokoju, jakby około osi niewidzialnej. Chciano w ustępie, odnoszącym się do Serbii i Bułgaryi, dosłyszeć ton wyzywający, groźny, a nawet ukrytą zapowiedź nieuniknionej walki. Tłomacze ci stanowczo nie zrozumieli intencyi Franciszka Józefa i zapomnieli o warunkach, w jakich zeszły się tegoroczne delegacye. Trafnie streścił mowę tronową jeden z dzienników wiedeńskich słowami: Austro-Węgry starają się jaknajusilniej o utrzymanie pokoju na czas możliwie najdłuższy, ale pragną, aby im nie uniemożliwiano tych starań. Cesarz przemawiał nietylko we własnem imieniu, ale w imieniu przymierza trójcesarskiego, którego celem jest utrzymanie pokoju europejskiego. Gdyby samo brzmienie artykułów umowy (z dnia 7 października 1879 r.) nie wystarczało dla nabycia pewności co do przeznaczenia owego sojuszu, to okoliczność, iż ogłoszono ją w parę lat po zawarciu, w chwili, kiedy pokój był zagrożonym, usuwa wątpliwości wszelkie.

Niepodobna zaprzeczyć, że polityka Austro-Węgier od r. 1879 była szczerze pokojową; i obecna przemowa cesarza nie miała bynajmniej charakteru zaczepnego. Dla ducha, ożywiającego delegacye, znamiennem było, iż godnością przewodniczących obdarzono dwóch dyplomatów pozostających w dobrych z mocarstwem ościennem stosunkach. Obierając go przewodniczącym delegacyi, zaznaczyli węgrzy, że głównem i pierwszem dążeniem ich jest dziś utrzymanie pokoju. Nikt nie stanie w drodze usiłowaniom hr. Kalnokego, który w myśl cesarza zarówno jak w duchu najszerszych kół obywatelstwa unika starć, z którychby wyniknąć mogły owe wielkie, krwawe przeprawy, grożące Euro-

2)

## Strącone liście.

Szabas.

Zbliża się cichy, wieczór zimowy. Zejdźmy do żydowskiej dzielnicy.

Ulica zbiega w dół po lekkiej pochyłości wzgórza. Jest prawie pusta i z każdą chwilą staje się cichsza. Czasem jeszcze skrzypnie gdzieś zawias u drzwi sklepionych, zamykanych śpiesznie, rozlegnie się łoskot zasuwanych sztab żelaznych, lub zgrzyt klucza, obracanego ręką dziewczyny, wyrostka czy starca, którzy wnet znikają. Przed chwilą było tu gwarno i tłumno; niewiadomo kiedy wszyscy zdążyli się poukrywać, a jak śpieszno im było, poznać można po zapóźnionych i biegnących pędem. Twarze mężczyzn nie wyrażają nic prócz zaaferowania i pośpiechu, zdaje się, że po jednej odbytej pańszczyźnie czeka ich druga; za to dziewczęta są rozradowane, umykają jakby je gonił mróz, którego nie lubią, czy nuda, która więziła je w sklepach, trzymają się pod ręce po dwie, trzy, cztery, wstrząsają plecami z zimna, trącają się, śmieją, biegną, zabierając z sobą resztki gwaru i życia z ulicy.

Pustka. Czemś dziwnem i niewytłumaczonem wydaje się ona dla umysłu przechodnia, zbłąkanego w tej dzielnicy. Gdzie ludzie? Gdzie życie? Czy głos czyjś potężny przebiegł tędy i odwołał wszystkich do zajęć zwykłych i zebrał ich daleko od miejsc tych, dla wysłuchania jakiejś mowy z innego świata?

Na bladem niebie księżyc, zaokrąglający się w pełnię, jarzy się srebrzysto-żółtawą jasnością. Na ulicę spada mrok pierwszy, najlżejszy, nieuchwytny; odgadnąć go można po tem tylko, że domy rysują się w czystości, jakby czyjaś ręka pościerała z nich brud, plamy, piętna zniszczenia.

Tu i owdzie przez okna widać płonące, wieloramienne świeczniki. Bogacze poczynają święcić szabas, a biedni nie uporali się jeszcze z robotą. Oto zaturkotał wóz, żyd stary pogania gwałtownie konia. U wejścia do piwnicy jakiejś, trzech, również starych żydów, z mozołem wielkim zatacza ciężką beczkę. Śpieszą się, krzyczą, spychają swój ciężar z taką nienawiścią, jakby to był wróg zabity, którego jaknajprędzej ukryć trzeba w ciemności grobu. Być może, iż wstydzą się tylko pracy zapóźnionej, obrażającej święto; za chwilę będą się modlić. Są starzy, zmęczeni, spracowani, biedni, ciemni, lecz gonią sił resztą, usiłują na chwilę jedną zatoczyć swą beczkę, w której przelewa się biedne ich życie, do szopy spokoju, a sami pobiegną do zagadkowego miejsca, świątynią zwanego i utoną w kontemplacyi wielkiej i grubej zasłony, którą ręce rabinów będą szarpały, o którą uderzać będą głosy śpiewaków. Za tą zasłoną spoczywa nieskończoność i nieśmiertelność. Więc i tych biedaków ona nęci! Więc to jej tchnienie przeleciało nad dzielnicą, zgasiło życie, zdmuchnęło nikłą piankę codziennych i nędznych ziemskich zabiegów. Ah! ah! Netel modli się również, i mały Joel także. Czy ręka rabina i głos śpiewaka uchylą przed nimi choć rąbek, maleńki rąbeczek zasłony, okrywającej wielką jasność, niepojęte szczęście, słońce tak piękne, jak ich życie jest brzydkie!

Ulicę zamyka mały, kamienny mostek, wsparty na jednej, nad wązką rzeczułką przerzuconej arkadzie. Dalej jest jeszcze kilka domów, uszeregowanych poprzecznie do ulicy, u podnóża wzgórka, którego boki obnażone, czerwieniejące gliną, przezierają między murami domostw. Na szczycie wzgórza — kościół stary, stary.

Słyszycie? Znów czyjść głos wzywa do modlitwy, Cichy, srebrny głosik pękniętego dzwonka uprasza by odmówiono wieczorną modlitwę. Czy z tego wzgórza widać nieskończoność? Wejdźmy tam.

Widać miasto i zachód. Pod gorejącym na połowie nieba zachodem leży miasto, to jest ogromna masa okruchów, bryłek, odłamków kamiennych. Zdaje się, że w tem

pio. Niema też w Austryi sztabu wojowniczego, z niecierpliwością oczekującego chwili, w której rozpoczęłaby się wojna pełna klęsk dla państwa, ale dla niego zaszczytna; niema wodza ambitnego, któryby minami intrygi i polityki zakulisowej podkopywał budowę ministra spraw zewnętrznych. Austro-Węgry musiały uzupełnić przygotowania wojenne, idąc za przykładem innych państw europejskich; musiały pomnożyć armię, wznieść nowe oszańcowania, zwiększyć gotowość armii; lecz wszystko to służyć ma, wedle przysłowia rzymskiego, jedynie do zabezpieczenia pokoju.

Wobec potęgi, jaką uzyskały w Austryi żywioły wsteczne, pocieszającym jest objawem reorganizacya dawnego stronnictwa demokratycznego, podjęta obecnie z niemałą energią przez nieustraszonego obrońcę zasad szczerze demokratycznych, posła Kronawettera. Ma ono stanąć do walki z klerykałami, którzy pragną ciemnoty ludu, i ze szlachtą, która utożsamiając się z narodem i państwem, dąży do zabezpieczenia sobie jaknajwiększych korzyści i do materyalnego ujarzmienia ludu, który idzie dziś na lep haseł obłudnych, wydanych przez dowódców właścicieli wielkich obszarów. Pod pierwszym naporem sprzymierzonych żywiołów reakcyjnych, w chwili, kiedy i przegniłe stronnictwo liberalne doznało porażki, stronnictwo demokratyczne uległo rozbiciu. Straciło ono część swych sił, które przeszły do obozu narodowo-niemieckiego i antisemickiego. Zawsze jednak liczy poważne zastępy zwolenników, walczących w parlamencie, w sejmach i w radach gminnych. Jest to jedyne w Austryi stronnictwo, a Kronawetter (obok Pernestorfera) jedynym posłem austryackim, do którego mieszczaństwo demokratyczne a nawet radykalne żywioły postępowe w Galicyi zwracały się z zaufaniem w chwilach, kiedy w rzędzie posłów galicyjskich nie znalazł się żaden, coby miał odwagę wystąpić w obronie pokrzywdzonych. Podstawą dla przetworzenia partyi demokratycznej, ma być stowarzyszenie pod nazwą „Demokratischer Centralverein,“ do którego za wkładką 1 zlr. rocznie należeć może każdy pełnoletni obywatel austryacki. Dla ułatwienia czynności tego związku, w odleglejszych miejscowościach członkowie jego konstytuować się będą jako oddziały czyli filie. Celem zaś stowarzyszenia jest łączne postępowanie w sprawach ludowych. Wyczerpująco przedstawił Kronawetter jego cele i zamiary w sprawozdaniu poselskiem, które złożył niedawno w ósmej dzielnicy wiedeńskiej. Wobec licznie zgromadzonego mieszczaństwa poddał obszernej krytyce obecne stronnictwa i ich walki. Wykazał, iż obecna większość parlamentarna jest na wskróś reakcyjną i wyświetlił drogi, na których uprzywilejowana grupa możnych dąży do ujarzmienia mas. Wyliczył, ile fideikomisów potworzyła większość obecna, łącząc obszerne dobra w rękach kilku rodzin szlacheckich, co pochłania grunty włościan i uniemożliwia im za grosz zaoszczędzony odkupywać ziemię postradaną. W dalszym toku występował przeciw liberałom, z którymi solidaryzował się jedynie w sprawie szkolnej. Zajmującą była krytyka budżetu. Kronawetter zbijał twierdzenie, iż budżet państwowy w bieżącym roku wykazuje nadwyżkę. Zestawienie jego opiera się na zręcznych sztuczkach. I tak np. wydano na nowe karabiny około 20 milionów zlr. Ponieważ w skarbie państwa sumy tej nie było, zaciągnięto pożyczkę. Zamiast w bilansie rocznym uwydatnić ją jako niedobór, wstawiono tam tylko procenty. Kilkakrotnie zwracał się Kronawetter przeciwko antisemitom i ich sojuszowi z klerykałami. Wykazywał ekonomiczną zgubność tego prądu i niebezpieczeństwo, jakie mieści w sobie dla sprawy postępu i idei demokratycznych. Słusznie zauważył, że nienawiść ku żydom łączy kapłanów chrześciańskich z żywiołami pragnącemi najdzikszej walki społecznej, i zbliża liberalne skądinąd mieszczaństwo do obrońców pojęć średniowiecznych. Kapłani chrześciańscy przyjęli od antisemitów zasadę sprzeczną z podstawowymi poglądami kościoła: zarzucają dogmat chrztu, o ile stosuje się do żydów i walczą z rasą. Antisemici znów wzięli u duchowieństwa wymysł mnichów średniowiecznych, iż żydzi z pobudek religijnych mordują dzieci chrześciańskie.

W walce z antisemityzmem znalazł demokrata wiedeński niespodziewanego sprzymierzeńca w osobie papieskiego nuncyusza Galimbertiego, który cieszy się szczególnem zaufaniem Leona XIII-go. Wysoce ukształcony nie zawsze pisywał noty dyplomatyczne; zasłużył się on kościołowi najpierw jako publicysta. W następstwie powierzono mu kilkakrotnie trudne misye polityczne. Za jego to pośrednictwem nastał pokój pomiędzy Kuryą a państwem niemieckiem. Wiadomo, iż Galimberti, dokładnie obeznany z myślami papieża, i że zbyt zręcznym jest dyplomatą, aby na własną rękę wystąpić w sposób niezgodny z zamiarami swego władcy. Podczas uczty, wydanej na cześć jego przez biskupa z Fünfkirchen, Galimberti zwrócił się do jednego z gości, żyda, z następującemi słowy: Kościół nasz bynajmniej nie zajmuje wrogiego stanowiska wobec religii waszej, gdyż z niej wyszedł i z nią do dziś liczne ma punkty styczne, jak Biblię, proroków i psalmy. Każdą religię pozytywną przenieść należy nad ateizm, który burzy porządek społeczny; wszystkie tedy wyznania zgodnie powinny współdziałać. Zapewnij pan swych współwyznawców o trwalej mej sympatyi! Wielkie zdziwienie obudziła ta przemowa zarówno w obozie Izraela, jak u jego wrogów. Filosemityzm nie należy dziś już do sielankowych sportów wielkich panów, a książętom kościoła sport ten zgoła nie jest znany. Może najtrafniejszą będzie wśród licznych tłomaczeń słów nuncyusza to, które pojmuje je jako ostrzożenie zwrócone przeciwko szlachcie feudalnej. Trzeba przyznać, iż szlachta, stojąca na czele ruchu reakcyjnego i antiżydowskiego, bardzo zręcznie użyła firmy kościoła w walce o doczesne swe dobra, i że w niej przekracza dziś granice wygodne dla kościoła.

Jak mało polegać można na wspaniałomyślnej pozornie tolerancyi sfer decydujących i jak bardzo tolerancya ta związaną jest z chwilowym układem interesów politycznych, o tem, świadczy los, jakiego doznało pismo wiedeńskie *Die Gleichheit*. Tygodnik ten, redagowany przez przyjaciela klasy pracującej, d-ra Wiktora Adlera, od lat trzech czytany przez szerokie koła robotników i stanowiący zarazem ognisko legalnego ruchu, dążącego do reform, cieszył się, rzec można, formalną opieką stronnictwa panującego w parlamencie i mimo częstych konfiskat, wcale nie źle przez rząd był widzianym. Wiedziano, że idealny ten stosunek opiera się na interesie sfer rządowych, z któremi opozycya wiernokonstytucyjna współzawodniczy w kokietowaniu z ludem i klasami pracującemi. Snać jednak niebezpieczny Benjaminek stał się niewygodnym wspaniałomyślnej swej opiekunce, która nie namyślając się długo, postanowiła jednym zamachem skręcić mu kark. Pozwawszy Adlera przed sąd wyjątkowy, zawieszono zarazem wydawnictwo tygodnika na mocy ustaw wyjątkowych z r. 1884. Było to nadużyciem ustawy, uchwalonej przez parlament na podsta-

---

miejscu strzaskano skałę i szczątkami jej obsypano wzgórze jakieś i podnóża jego. A zachód jest ze złota, więc ciężki niezmiernie, i coraz niżej, niżej nawisa nad miastem; już chmury ozłocone nalegly ciężko na mury i kilka wieżyc, które, zdaje się, iż podpierają całą kopułę. Za wieżycami temi jest tło ogniste, a one same czarne, i im więcej przygniata je zachód, tem one wyższemi i potężniejszemi się stają. Pod niemi miasto opada powoli w jakąś otchłań, dłoń mroku przeistacza je z dzieła rąk ludzkich w marę bezcielesną i pociąga je kędyś w dół. Coraz mniej już rozpoznać można dachów, ścian, kominów, murów — coraz więcej wyrasta widm, spowiniętych mgłą. Jeszcze chwila i dla złudzeń dziennych następuje koniec: niema zachodu, niema miasta. U stóp naszych zebrało się wiele mglistych, nieforemnych postaci, które przytulają się jedne do drugich, opierają się na sobie, tłoczą się, zlewają w jedno... Las się nam wtedy przypomina, spowijany rękami wieczoru na sen cichy...

Ach, zejdźmy stąd, czyjś oddech żałosny i tęskliwy przeleciał nad miastem, nad wzgórzem i niepokojem owionął duszę...

Ulica ożywia się na chwilę. Z wązkiego zaułka prowadzącego do bożnicy, wysypuje się tłum czarnych postaci, i szybko topnieje, rozprasza się po dzielnicy, zatrwożywszy usypiające domy echem głośnego szwargotu.

Zostają tylko dwa ciche cienie, które posuwają się bardzo wolno w mroku pod murami i przybierają kształty człowiecze wtedy, gdy ominąć nie mogą blasków księżycowych lub promiennego kręgu dokoła latarni.

Czemu Netel i Joel nie spieszą z powrotem do swych ognisk domowych, czemu idą tak wolno, jakby coś ich odpychało od miejsc, do których dążą, a zatrzymywało ich u tych, z których wracają?

Bo dusze ich są rozmarzone modlitwą i śpiewem i oderwały się na chwilę od świata, w którym więdną. Usłyszeli w jakiemś ukryciu ich duchów zrodzony dźwięk, który w powszedniej piosnce życia wcale się słyszeć nie dawał i pragną w tej chwili, by dźwięk ten w słuchu ich nie zamierał i przywołał inne, równie piękne. Dlatego nie spieszą się z powrotem do domu, idą wolno i obierają najdłuższą drogę.

Domy, które mijają, podobne są do brzękliwych uli, ogarniętych we wnętrzu płomieniami, które łuną dobywają się z okien. Zamknięte w nich roje istot ludzkich sprawiają taki gwar, taki hałas, jakby to były pszczoły strasznie wylękło i mające wszystkie wyjścia przed sobą zaparte. Joel, przechodząc koło okien, zadziera główkę i ciekawie szuka tych spłoszonych pszczółek, lecz dostrzega tylko czapkę, trzęsącą się na czyjejś głowie, lub czepek, który zdaje się, iż sam biega, lub ułamek jakiegoś przedmiotu, trudnego do odgadnięcia. W brzęku pszczół Joel pochwytuje słowa modlitwy lub śpiewu, czasem słyszy tylko odgłosy kłótni, swarów czy też krzykliwej rozmowy. Są to zwrotki powszedniej, dobrze mu znajomej piosnki, którą nauczył się już rozumieć, gdyż przysłuchuje się jej codziennie.

Szeregi kamienic, ogniem we wnętrzu wypełnionych, kończą się u wejścia do ciasnego i ciemnego zaułka, który wyprowadza Netela i Joela na drewniany most. Pod mostem starym, przegniłym snuje się lodowa wstęga rzeczki. Nad brzegami jej czepiają się parkany wysokie, a stare, krzywe, chwiejne i ku ziemi ciążące; domostwa, których ściany rozpełzają się w strony różne; budynki dziwaczne, szopy jakieś czy spichrze drewniane, natłoczone bezładnie, podpierające się wzajem, a tak za brzeg przechylone, że zdaje się, iż lada chwila runą i masą próchna zasypią rzeczkę. Jak kupy rzeczy kędyś w kącie porzuconych, zapomnianych, przez czas poczerniałych i gnijących powoli, tak te gromady walących się budynków czekają by je uprzątnięto, a tymczasem przytułkiem są nędzy.

Teraz, gdy mrok nastąpił, ukazują się w nich szczeliny ogniste — malutkie, czerwienią świateł gorejące okienka — i opowiadają o czyjemś życiu tak biednem, tak

wie kilkakrotnych oświadczeń rządu, iż stosowaną będzie wyłącznie przeciw anarchistom. Obawiając się podobnego przekraczania pełnomocnictwa w innych wypadkach, prasa przypomina hr. Taaffemu wniesioną do protokółu uroczystą jego obietnicę w tym względzie. Dyrektor policyi, baron Krauss, oznajmił, iż zniesienie tygodnika nastąpiło wskutek pewnego artykułu, który miał dać pochop do rozruchów robotniczych w Steyr. Tak przynajmniej doniosło było pisemko *Der Alpenbote*. Daremnie dr. Adler zobowiązywał się złożyć dowód, iż nie zachodzi tu związek i że rozruchy w Steyr nie miały nic wspólnego z socyalno-demokratami. Sąd wyjątkowy, przeciwko stosowaniu którego zwracał się obrońca dr. Eppinger, skazał d-ra Adlera na cztery miesiące aresztu, zaostrzonego postem; a żaden z owych przyjaciół możnych, co niedawno w salach parlamentu gawędził życzliwie z redaktorem *Gleichheit*, nie wskazał na to, iż tu demokracya socyalna, stojąca na legalnym gruncie pokutuje za anarchistów, (lub raczej, że naciśnięto jej na głowę czerwoną czapkę anarchizmu, by módz ją zgnieść).

Ze świata artystycznego nie wiele dziś mogę donieść. Od paru tygodni ściąga liczną publiczność „Theater an der Wien,“ w którym występuje trupa nadwornych aktorów monachijskich, grająca wyłącznie sztuki ludowe. Świadczy to o wysokim rozwoju stosunków teatralnych w Niemczech, że liczne grono artystów doborowych, poświęcić się może tej specyalności. Są między nimi aktorowie skończeni, wolni od owego patosu fałszywego, właściwego najlepszym nawet aktorom niemieckim, poświęcającym się tragedyi wielkiego stylu. Zwłaszcza Neuerta, który odznaczył się i jako autora sztuk ludowych, słusznie stawiają go obok Sonnentala. Utwory przedstawiane wyszły przeważnie z pod pióra Ganghofera i Neuerta. Obrazy te nie są sztukami tendencyjnemi; nie bronią one ani nie zwalczają prądów społecznych. Przedstawiają jeno życie ludu bawarskiego, tak jak je turyści widzą w górach, jak je Amengruber i Silberstein w licznych scharakteryzowali powieściach. To też między sztukami przedstawianemi napotyka się wiele przeróbek z powieści. Budzą one głębsze dla ludu zajęcie, aniżeli apostolskie moralizowanie, i prawdziwie życzyć by należało, ażeby pobudka, dana u nas w tym kierunku przez Warszawę i Kraków, odniosła skutki pożądane, ażeby i na naszych scenach dawać można szereg sztuk odzwierciedlających wiernie naturę i zwyczaje ludu. Utwory te z natury swej, zarówno w pomysłach jak w wykonaniu hołdować muszą zdrowemu realizmowi, który zdobywszy sobie już wydatne stanowisko w powieści, na scenie korzeni zapuścić nie może.

*Stwosz.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory do sejmu galicyjskiego nie wprowadzą doń nowych żywiołów w takim stopniu, któryby mógł sprowadzić zmiany donioślejsze. Jednakże pierwiastek liberalno-demokratyczny wzrósł nieco przez wejście kilku posłów szczerze wyznających te zasady i chłopów (rusinów). W kołach wolnomyślnych ze szczególną uroczystością obchodzony był wybór Asnyka. Ażeby zrozumieć tę radość (po odtrąceniu zmieszanych z polityką uwielbień dla znakomitego poety), trzeba nie spuszczać z uwagi, że Galicya jest krajem umyślowo zatęchłym i spowitym mrokami ciemnoty, każdy więc strumień świeżego powietrza, każdy promień jasnego światła jest tam wypadkiem ważnym. Asnyk nigdy politykiem nie był i prawdopodobnie nie będzie, mowa jego jest miękką i dziurkowatą gąbką bardzo umiarkowanego liberalizmu, która najrozmaitsze pierwiastki wchłania; ale jest to człowiek bardzo zacny, szlachetny i całkiem niezdolny do pełzania w prochu przed stańczykami. I Galicya posiada w najgłębszych pokładach swych warstw społecznych żywioły radykalne, ale wierzchnie są tak dalece konserwatywne, że tam *Nową reformę*, organ „wywrotu,“ bardzo chętnie prenumerują... księża. W takiej atmosferze mowa kandydacka Asnyka może być piorunem.

Pozornie spór między Niemcami a Szwajcaryą zaostrzył się bardzo groźnie, ale w rzeczywistości podobno już dopala się i wkrótce zgaśnie. Bismark ogłosił w *Reichsanzeigerze* trzy swoje noty, brzmiące bardzo gniewnie i zakończone uwagą, że jeśli Szwajcarya nie będzie tańczyć, jak jej z Berlina grają, to „mocarstwa będą musiały postawić sobie i rozstrzygnąć pytanie, czy neutralność jej ma być nadal poręczoną.“ Przemawiając w imieniu „mocarstw,“ kanclerz zapomniał o naprężonych między niemi stosunkach i przejechał granicę, którą mu roztropność powinna była nakreślić. Nie mówiąc o Francyi, która w duszeniu Szwajcaryi nie ciągnęłaby pętlicy razem z Niemcami, natychmiast *Nord* dał im do zrozumienia, że i Rosya chce mieć własne zdanie. Mianowicie organ ten oświadczył, że jeżeli rząd berneński wzmocni—jak obiecuje — dozór nad cudzoziemcami, spełni swój obowiązek całkowicie. Jednocześnie w kilku naraz pismach — i to mających blizkie stosunki ze sferami dworskiemi — wynurzyła się wieść, że cesarz Wilhelm II otwarcie wyraził życzenie i „nadzieję,“ że spór ze Szwajcaryą wkrótce zostanie załatwiony. Tę różnicę poglądów monarchy i jego kanclerza wtajemniczeni tłomaczą „frykcyami,“ które tym razem pochodzą od kół wojskowych a zwłaszcza od naczelnika sztabu, stale uważanego za przeciwnika Bismarka. Zmarły Wilhelm I często także nie zgadzał się ze swym doradcą, ale o tej niezgodzie milczał, o polityce nigdy z nikim nie mówił, więc i sprzeczności pozostawały między przyjaciołmi. Tymczasem obecny cesarz jest gadatliwy i otwiera swe uszy radom ludzi wpływowych, więc tajemnica łatwo wypływa na wierzch. Według dość szeroko rozpowszechnionego przekonania, zarówno w starciu ze Szwajcaryą, jak i w wielu innych wypadkach, pozwala on Bismarkowi wydąsać się, wyhałasować w prasie, ale ostatecznie swoje robi. Że Szwajcarya daje przytułek ściganym socyalistom niemieckim, że na jej gruncie założyli oni sobie kuźnię rewolucyjną— to prawda, ale tę samą opiekę daje im Francya, Anglia lub Szwecya. Nadto rdzeń sporu— wykład traktatu z r. 1876 przedstawia ze strony niemieckiej taką wykrętność, dla jakiej przykład znaleźć można tylko w najsofistyczniejszych sztukach Bismarka. Mianowicie traktat ów orzeka, że poddani niemieccy, osiedlający się w Szwajcaryi, *powinni* posiadać dowody legitymacyjne. To „powinni,“ wstawiono jako prawo Szwajcaryi, kanclerz wykręca zaś jako jej obowiązek względem Niemiec. Innemi słowy: właściciel majątku, warunkujący sobie w kontrakcie opłatę czynszową od dzierżawcy, nie może mu jej— według tej logiki — darować.

Papież w dalszym ciągu grozi wyjazdem z Rzymu „na wypadek wojny.“ Już nawet

---

czarnem, tak zapomnianem, jak jego schronienie.

W rzeczkę wysypuje się, zrzuca, spycha — wszystko, czego nędza nawet zużyć nie może. Czarne, przemarzłe, wielkie jak wzgórza, kupy śmiecia spoczywają na lodowej powłoce. Rzeczka pod niemi znika, one ją pochłaniają, nie starczy wody by je zatopić, niema prądu, który by je uniósł. Czekają uprzątnięcia swego, jak domostwa nad niemi, a tymczasem sterczą i piętrzą się na sobie, niekształtne, rozpłaszczone, jak istoty wstrętne, zdjęte wstydem, że ukryć się nie mogą. Wąziutka tylko wstążeczka lodu wolną jest i kapryśnemi zwroty omija nieczystość.

I lód ten jest brudny, lecz księżyc obsypuje powierzchnię jego brylantami.

Netel i Joel zatrzymują się na mostku.

Ile razy przechodzą tędy wieczorem, muszą choć na chwilę oprzeć się na wątłej, drżącej pod ich naciskiem baryerce i rozejrzeć się dokoła. Może każe im czynić tak jakaś istota niezmiernie dobra i piękna, choć niewidzialna. A może tylko cisza tych miejsc i księżyc.

Cisza i księżyc panują tu, choć dziwnem się wydaje, czemu te wybrzeża nędzy pieści cisza, a nie jęk lub głośna skarga, czemu całuje je księżyc, a nie ogarniają ciemności!

Małe, nizkie domki nie zasłaniają tutaj olbrzymiego stropu, po którym płynie krąg, blado świecący. Joel przygląda się temu kręgowi, i bezdennej, posępnej głębi, w której on pływa. Tam cicho, a w domach ludzkich gwar taki.

I tam cicho, dokąd zdąża wstęga lodu. Robi ona jeden zwrot, potem drugi, potem przesuwa się pod czemś, co jest białawe i niewyraźne, potem zaśliguje się pod mgły i znika. Co to jest to białe pasmo? Joel nie może sobie przypomnieć, dotyka leciutko czarnego, zgiętego na baryerce, łokcia dziadka, drugą rękę wyciąga i wskazuje:

— Co to jest?

Netel długo szuka przedmiotu owego w przestrzeni.

— To jest mur... dom tam był — zwalony już.

Mur. Joel widzi go teraz wyraźnie. A za murem wie co jest: mgły spoczywają na polach, gdyż miasta już niema, i są białe ze śniegu wzgórza — niepodobne do tych, jakie widzi się latem.

Netel nie myśli o wzgórzach. Wzrok jego dostrzegł nikły snop światła, padający na kupę gnoju i śmiecia—czerwony blask szabasowy, który, wydarłszy się z małego okienka, bez wstrętu dotknął nieczystości. Ten blask niepokoi starego żyda, a potem wzruszać go zaczyna.

Netel patrzy na ozłocone śmiecia, na brylanty, rozrzucone po zabłoconym lodzie i zdaje mu się, że to czyni sam Jehowa, który tak jest dobrym, że pozwala w bożnicy modlić się nietylko bogatym i możnym, lecz i wyrobnikom i sługom ich najbiedniejszym. Netel pragnąłby wypowiedzieć swoją myśl Joelowi, lecz brak mu słów, więc trąca go tylko tak lekko, jak przed chwilą wnuk go dotykał, i wskazuje mu kupę ozłoconą, cienie i blaski, układające się na lodzie, potem głaszcze ręką jego ramię, dotyka jego głowy i milcząc pieści ją długo okiem.

I odchodzą. Znów idą tak wolno, jakby im żal kogoś czy coś opuszczać i jakby się lękali tego, co ich pociąga. Pociąga ich wielki, nieprzeparty prąd, który starców unosi do grobu, karmiąc ich żalami, a dobre, dziecinne serca topi w odmętach nienawiści i samolubstwa.

...Netel już umarł, a mały Joel dziś jest Jonasem Baumem, lichwiarzem. Wejrzenie jego posiada zawsze tyle słodyczy, ile jej było w oczach Esterki, ale dusza jego pełna wzgardy dla... strąconych liści! On sam jest krzepkim liściem, który przed nadejściem zimy — nie spadnie.

Stary dom rozwalono.

*F. G. Brodowski.*

ma mieć nową siedzibę, kosztowniejsze rzeczy kazał z Watykanu wywozić — itd. Jest to nic więcej, tylko ciągłe przypominanie się pamięci świata, zmuszanie go, ażeby mówił o sprawie, o której on radby zapomnieć i rzeczywiście zapomina, jest to dmuchanie w głownię, która ustawicznie gaśnie. Pod tym względem trzeba Leonowi XIII przyznać talent a przynajmniej wytrwałość.

W parlamencie angielskim zatlił się ogień, który jednak nie doprowadzi do pożaru. Ponieważ najstarsza córka ks. Wallii wychodzi za mąż, więc trzeba załatwić kwestyę uposażenia jej (apanażu). Otóż posłowie radykalni wystąpili przeciw wnioskowi, dowodząc, że jest to gorszącem, ażeby tak bogaty człowiek, jak lord Fife, przyszły małżonek księżny, wypychał swój pełny worek pieniędzmi, ściągniętemi w podatkach z biednego ludu. Ale parlament, a tem mniej lord Fife nie usłuchają tego psalmu, dożywotni posag będzie przyznany i wzięty. Ci chcą najwięcej, którzy mają wiele — tak zawsze bywało na świecie, a Bradlaugh go z tej wady nie wyleczy.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### LISTY KRAKOWSKIE.

*Rządy p. Gliksona w teatrze krakowskim.* — Ochotnik na posła. — Nie tyle śmieszne ile oburzące.— Posłowie z Krakowa. — Zwycięztwo Asnyka i stronnictwa. — Prawda w oczy. — Z miasta.

Kartki, zapowiadające ukazanie się broszury p. t. *Rządy p. Gliksona w teatrze krakowskim*, obudziły zajęcie. Godziło się przypuszczać, że to nie panegiryk, zatem nazwisko odważnego autora gubiło się w domysłach. Odważny? Bardzo; wszak potrzeba dowieść, że albo komisya znawców, chwaląc teatr, nie zna się na nim, albo ktoś z teatru natomiast „zna się na rzeczy;" potrzeba dowieść, że to nieprawda, o czem *Czas* pisał, że prawda, a wreszcie wypada napisać coś nowego potem, co już o teatrze i jego p. Gliksonie napisano.

P. Błoszyński zaczyna od czasów Koźmianowskich; przypomina dobrych aktorów, staranną wystawę doborowej sztuki, a o chwili, w której nowy przedsiębiorca obejmuje teatr, powiada: „i stał się fakt, że człowiekowi nie mającemu najmniejszego wykształcenia, znającemu teatr o tyle, o ile w kasie obliczał dochody ze spektaklów, lub anonsował w lokajskie obleczon szaty „powóz zajechał," że takiemu..." itd. Poddając krytyce przesuwających się aktorów, chwali dawnych reżyserów i kierowników artystycznych, słusznie podnosi zasługi p. Sarneckiego, który, mimo że obdarzony wielkiem poczuciem artystycznem a znawca literatury scenicznej nieposplity, przecież krępowany łakomstwem przedsiębiorcy na grosz, składa kierownictwo. Dużo tu o gościnnych występach, o sążnistych reklamach drukowanych w *Czasie* a robionych w sekretaryacie teatru, o sprowadzaniu „tingl-tanglu" i kuglarzów berlińskich. Słowem są tu uwagi, którem już nieraz dzielono się z publicznością; wiedzieliśmy bowiem że p. Gliksonowi handlować czem innem, ale nie teatrem, że reżyser leniwy a lekkomyślny zawadza raczej, niż pomaga, że komisya znawców, chwaląc cały ten interes, zadaje gwałt własnemu sumieniu i że chcąc pisać pochlebnie o rządach przedsiębiorcy, minęłoby się z prawdą. Dlatego niesłuszną wydaje się zbyt surowa krytyka, jaka spotkała autora; wytknąć można było wiele a przedewszystkiem niecopatrzne zestawienie *Reformy* na równi z *Czasem*. O ile na banalności wiecznie młodych nikt nie zważa, o tyle zdanie sprawozdawcy *Reformy* jest w poważaniu u inteligentnej publiczności, dla której stanowi jedyną wskazówkę w sprawach teatru. Krytyka to głęboka i poważna, nie krępująca się względami, które w malutkim Krakowie odbierają swobodę, a jeżeli okraszona dowcipem chłostała, to pewnie zasłużenie i nie bez pożytku. Takich pracowników nie wolno stawiać na równi z recenzentami *Czasu*.

Z chwilą nowych wyborów do sejmu zaczęli wyłaniać się równie nowi ochotnicy poselscy, a o ile jedne kandydatury dobrze wróżyły sejmowi, o tyle inne śmieszyły, dziwiły a nawet oburzały. Oto zgłasza się np. hr. W., znany tylko jako partner karciany Koźmiana, któremu za całe powołanie do pracy dla kraju ni stąd ni zowąd wystarczył argument bogatego stryja, mniej więcej w tym sensie: Toniu, wiesz, że jesteś moim spadkobiercą; majątek przytem tak wielki, że dla zyskania go warto nawet potrudzić się; stary jestem, wiek sprowadza dziwactwa, na ich karb policz więc chęć oddania majątku w ręce, które nietylko przebierały w kartach i wygranych banknotach, ale choć raz obróciły skibę na rodzinnej glebie. Zrób coś dla kraju, ot staraj się, by cię wybrano posłem, inaczej, klnę się na klejnot, wydziedziczę. Stary jestem a wiek ma dziwactwa...

W parę tygodni z kuryi gmin wiejskich powiatu krakowskiego, wybrany został posłem hr. Tonio.

Kraków daje życie trzem posłom. Tym razem stronnictwa, idąc dość zgodnie, poróżniły się o trzeciego. Zachowawcy polecali prezesa Akademii Majera, przeciw któremu wystąpił Asnyk z ramienia „demokracyi postępowej." Wybór na pozór łatwy; Majer podeszły wiekiem, bo staruszek 82-letni, obarczony nad siły zajęciami i godnościami, winien ustąpić miejsca młodemu i niezależnemu, który w swej mowie kandydackiej złożył dowody, że nie obcym mu jest bieg spraw krajowych a z zapałem obiecał gotowość służenia rodakom. Tymczasem nietylko, że nie przyszło do porozumienia, ale zabiegi zachowawców do utrzymania wyboru swojego kandydata wzmogły się do niebywałej miary. Środkami, które cel ma uświęcić, wypchano kieszenie powierników, na murach jawiły się odezwy wstrętne, obrażające, niegodziwe; używano wpływu zwierzchników, nadużywano zależności podwładnych i — Asnyk został wybrany.

Nie będziemy przytaczali ustępów jego mowy, a mimo że nie na wszystkie zgodnie się piszemy, przyznać należy, że wywarła wrażenie, jakie zawsze uczynią słowa prawdy, wypowiedziane w oczy. Bo proszę państwa inaczej na całym świecie, inaczej w Galicyi a już najbardziej inaczej w Krakowie. Wiele zrobił, kto tu na miejscu śmiał głośno trącić w widełki stroikowe p. Tarnowskiego i wydobyć z nich zgrzyt przewrotnej polityki; zasługę zyskał, kto palcem wskazał zapory rozwoju i postępu, żargonową szarańczę na własnym zagonie. To jeden z tych prądów, jakich od czasu do czasu potrzeba drzemiącemu społeczeństwu, by zajrzało we własną czczość i zasromało się niewolnictwa. To, co wy nazwalibyście łagodnem a niezbyt określonem, my już nazywamy gromem, więc padł grom i jak po burzy odświeżyło się duszne powietrze.

Nie powiem, że po tej bitwie stańczycy wyrznięci do nogi, ale oni sami mówią, jak wiele stracili. Stracili wpływ tam, gdzie z urzędu władza czyniła nadużycia, widząc z żalem, jak podziały się baranie miny, robiąc ni stąd ni zowąd miejsce samodzielności, stracili aureolę, którą tłum udawał że widzi w dnie pogodne. *Czas* stracił, *Reforma* zyskała. Stronnictwo „demokratyczno-postępowe" wątpiło już o sobie, zdawało się, że tamtych moc niezliczona, dziś porachowali się, ujrzeli przewagę a już takiego rachunku nie zmylą, choćby *Próby roztroju* p. Tarnowskiego.

Rektorem uniwersytetu na nowy rok szkolny wybrano prof. Korczyńskiego, który zapewne wiele dobrego i pożytecznego zdziała na tem stanowisku. Na stanowisku padł nagle profesor wydziału prawnego, Fierich, znany z licznych prac, a ceniony przez uczniów, których umiał uczyć.

*Mor.*

## Z FRANCYI.

*Paryż, 5 lipca.*

Francya znajduje się obecnie w fazie niezwykłego ożywienia i podniecenia swej działalności w najrozmaitszych kierunkach. Stuletni jubileusz i wystawa nie zagłuszyły w niej bynajmniej życia politycznego i zabiegów chwili. O dwa kroki od placu Inwalidów, na którym rozłożyły się kolonie francuskie, Izba odbywa burzliwe swe posiedzenia; Senat, przemieniony w Trybunał najwyższy, prowadzi dalej rozpoczęte śledztwo. Bulanżyści nie dają atoli za wygraną; urządzają wiece i zebrania publiczne, a nawet pozwalają się brać do kozy. Nie zasypiają także gruszek w popiele — wybory za pasem — i sprzymierzeni dziś z nim konserwatyści, niezbyt dalecy od zakonserwowania tymczasem Rzeczypospolitej bulanżystowskiej, byleby tylko mogli w niej przyjść do władzy; stronnictwo zachowawczo-klerykalno-monarchiczne urządziło na prowincyi szereg wieców pod nazwą „zgromadzeń prowincyonalnych," usiłujących na nowo powołać do życia dawny samorząd prowincyonalny; na wiecach tych układają się tak zwane „kajety" żądań stronnictwa, wzorem owych *cahiers*, które w przededniu pierwszej rewolucyi układał stan trzeci.

W Paryżu samym życie wre, kipi i przelewa się przez brzegi. Wystawa jest w całem tego słowa znaczeniu świetną; uderza przepychem i blaskiem swych gmachów, ozdób, ogniów sztucznych i fontan, swą wieżą Eiffla, galeryą maszyn i śmiałymi zarysami nowej architektury żelaznej. To, co się mieści wewnątrz wspaniałych tych i oryginalnych pałaców, zasługuje nie na mniejszą uwagę. Galerya maszyn zawiera w sobie wszystko, co stworzyła obecnie mechanika całego świata; wystawa przemysłowa Francyi i innych krajów roztoczyła przed nami wielkie bogactwo swych wyrobów we wszystkich gałęziach rękodzieł i produkcyi fabrycznej; rolnicza i spożywcza nie ustępują działom poprzednim. Na tem jednak bynajmniej nie koniec. Prócz starej Europy, reprezentowanej przez Francyę, Anglię, Belgię, Niderlandy, a w części przez Włochy, Hiszpanię i państwo Skandynawskie, stanęły raźno i ochoczo do popisu młode państwa bałkańskie: Rumunia, Serbia, Grecya. I Wschód daleki, szczególnie Japonia, zaznaczył swą obecność, często w sposób bardzo wyraźny i charakterystyczny. Persya, Egipt (ten ostatni ma całą „ulicę Kairu"), Siam, wyspy Hawajskie, kolonie holenderskie, Indye angielskie, Chiny mają tu swe oddziały i osobne pawilony. Ameryka środkowa i południowa wystawiły całe miasto gmachów, szałasów, pawilonów i pawiloników, w których oglądać można produkcyę, bogactwo naturalne i wszystko, co jest charakterystycznego w tych krajach. Kolonie francuskie: Thaiti, Senegal, Gabon, wyspy Madagaskaru, Kambodża, Kochinchina, Anam, Tonkin, Alger, Tunis... zaprezentowały się nietylko nadzwyczaj oryginalnemi i pięknemi budowlami, lecz i tem, co wytworzyła w nich stara kultura i nowsze wpływy cywilizacyjne. Dla lepszego przytem poznania tych krajów, sprowadzono i osadzono obok wystawowych pawilonów całe miasto bazarów i kawiarni kolonialnych, pobudowano całe

wsie zamorskie, domy i szałasy, porozpinano namioty, a w tych siedzibach pierwotnych pokazano nam ludność tuziemczą wszelkich ras i kolorów skóry, żyjącą tu jak u siebie. Nieopodal historyi domów mieszkalnych, w wielkim Pałacu sztuk wyzwolonych, przedstawiono nam plastycznie i naocznie: historyę kultury, historyę naturalną człowieka, historyę pracy, nauki, wynalazków i odkryć. W drugim znowu pałacu sztuk pięknych zgromadzono wszystko, co malarstwo francuskie stworzyło wybitnego od końca zeszłego stulecia, w muzeum zaś Trocadero oglądać możemy w autentycznych zabytkach historycznych i archeologicznych całą historyę sztuki i architektury francuskiej czasów najdawniejszych. Na wystawę przytem sztuk pięknych wszystkie kraje nadesłały najpiękniejsze kwiaty swego artystycznego geniuszu za lata ostatnie. Ogrodnictwo i leśnictwo, przemysł górniczy i marynarka wystawiły także, co miały zasługującego na uwagę. Z zakresu działalności państwowej we Francyi, ministerya: robót publicznych, spraw wewnętrznych, poczt i telegrafów, wojny, wystąpiły także bogato i wspaniale, dając pełny obraz swych zabiegów i mieszcząc te ilustracye w pysznych częstokroć i wielkich pałacach. Miasto Paryż wystawiło sobie dwa pawilony własne. Ekonomia społeczna ma swą odrębną wystawę. Do tego, cośmy tu wyliczyli, dodać należy jeszcze wiele miejsc zabaw, bazarów, sklepów, wystaw poszczególnych i cząstkowych.

Dla dania pełnego obrazu tego świata jubileuszowego i wystawowego przekroczyć nawet musimy granice Pola Marsowego. W najbliższem jego sąsiedztwie przedsiębiorcza pomysłowość prywatna pobudowała znowu całe miasto, wywołujące jakby na jedno zaklęcie historyczne pamiątki i wspomnienia. Mamy tu więc naprzód Bastylię, odtworzoną w naturalnej wielkości wraz z przyległą ulicą św. Antoniego, dalej słynną *Tour de Nasle*, *Cité Jeanne d'Arc*, *Cité Henri IV*, dalej jeszcze więzienie *Temple*, ponury gmach gotycki, z którego Ludwik XVI poprowadzony został na rusztowanie. Dodajmy do tego różne panoramy, wystawę Rewolucyi francuskiej w Luwrze, sam wreszcie Paryż z trzema blizko milionami ludności, ze swymi pamiątkowymi gmachami, pomnikami, posągami, z 300,000 goszczących obecnie w nim cudzoziemców, a będziemy mieli dopiero przybliżone pojęcie o tem, czem jest Paryż obecny i wystawa. Spotykałem już gości wystawowych, którzy patrzeć i zwiedzać umieli i których oczekiwania przeszło o wiele to, co znaleźli i zobaczyli... Francya dzisiejsza, szczególnie zaś Francya ostatniego stulecia znajduje się obecnie w okresie pełnego rozkwitu, tak pełnego, że zbliżać się on już zdaje do przekwitu czy okwitania, z którego owoców nowe jakieś dopiero życie wyrośnie, podobne i różne od dawnego. Takie kwitnienie narodów i cywilizacyi warto oglądać, kto tylko patrzeć umie, bo zjawisko wydarza się nader rzadko. Aloes kwitnie podobno raz na lat sto, narody zaś i cywilizacye czasami raz na lat tysiące.

To jednak, cośmy wyżej w najogólniejszych zarysach zaznaczyli, jest tylko statyczną, że tak powiem, stroną wystawy. Niemniej ciekawe są zjawiska ruchu i ożywienia, które toczą się około tych wystawowych popisów. W czasie obecnego lata odbędzie się w Paryżu około 100 różnych kongresów i zjazdów naukowych, technicznych, społecznych i politycznych. Niektóre już się rozpoczęły Mianowicie: kongres własności literackiej, pokoju, parlamentarystów, agrarystów (Henryk George wraz ze swymi zwolennikami), kongres praw kobiecych, niektórych urządzeń społecznych, tanich pomieszkań, gimnastów, kongres ćwiczeń fizycznych zastosowanych do wychowania itd. itd. Odbędzie się zaś ich jeszcze cały długi szereg; samo wyliczenie tych wieców, dotyczących najrozmaitszych kierunków i gałęzi pracy ludzkiej, zajęłoby tu zbyt wiele miejsca.

Wystawę odwiedza przeszło 100,000 osób dziennie, a w dzień świąteczny i po 300,000. Zapalane wieczorami iluminacye i ognie sztuczne nie gasną nad wystawą. Gotowa ona stać się chroniczną, zadecydowano bowiem, że główniejsze budynki wystawy pozostan., zaś Pole Marsowe, na którem ten międz. narodowy popis się rozłożył, przemienione zostanie w piękny park, ażeby Bellona nie przerywała innym muzom miłego wczasu i słodkiej drzemki...

*Parisis.*

# BADANIA NAUKOWE.

## DZIAŁALNOŚĆ KOMITETU STATYSTYCZNEGO w Królestwie Polskiem.

Jak wiadomo, nasza znajomość kraju pod względem statystycznym jest bardzo słaba i niewielka. Zresztą, okoliczność ta nie powinna nas zgoła zadziwiać, jeżeli zważymy, że istniejąca literatura w tej mierze zawdzięcza u nas zwykle swój byt prywatnej pobudce i staraniom. A jednakże, kto chciałby z tej szczupłości wyrokować o niedostatecznem nagromadzeniu materyału statystycznego, omyliłby się grubo. Raczej dzieje się przeciwnie. Zdaniem powag urzędowych, chociażby profesora statystyki w uniwersytecie warszawskim, p. Simonenki, różne gałęzie statystyki administracyjnej posiadają w Królestwie bezwarunkowo lepszą organizacyę, aniżeli to widzimy w Cesarstwie, które jednakże wyprzedziło nas w zakresie piśmiennictwa statystycznego. Rozmaite władze gromadzą mnóstwo nader ciekawych danych. Lecz zazwyczaj giną te zbiory marnie, zapełniając jedynie półki w archiwach i tylko w wyjątkowych razach oglądają światło dzienne, ukazując się wtedy na stronicach tak zwanych *Pamiatnych knižek*, wydawanych przez biura gubernatorów. Żeby dać pojęcie, ile i jak cennego materyału przepada, zatrzymamy się nad widokiem, jakiego dostarcza nam świeżo prof. Simonenko w wydawnictwie, o którem niebawem pomówimy szczegółowiej. Królestwo posiada księgi ludności stałej i niestałej. Dają one bardzo dokładny obraz rozmieszczenia ludności kraju według płci, wyznania, stanu, zajęcia i wieku. Zwłaszcza co do podziału według wieku, nietylko że przewyższają Cesarstwo, lecz nie ustępują nawet pierwszorzędnym krajom Europy zachodniej. A tymczasem dane te giną najzupełniej bezużytecznie. Nikt o nie nie dba, służą bowiem jedynie dla celów poborowych. Zbyteczna nadmieniać, jaką stratę ponosi z tego powodu znajomość kraju. Tak np. urzędy kryminalne wydają sprawozdania o stanie zbrodnictwa, w których rozmieszczają przestępców według wieku, stanu małżeńskiego i zajęć. Lecz liczby te pozostają bez żadnego głębszego znaczenia wobec braku danych statystycznych względem odpowiedniego rozmieszczenia samej ludności kraju, gdzie rzucić mogą one jakieś światło tylko przy tym warunku, że kategorye zbrodnicze będą wyrażone w odsetkach stosownie ułożonych całego zaludnienia. Albo weźmy statystykę śmiertelności. Jest ona prowadzona znowu w podobny sposób. Lecz jaką wartość posiadają te cyfry bezwzględne, jeżeli niepodobna ich porównywać z podziałem samej ludności według wieku itd.? Intendentura wojskowa znowu corocznie zbiera ciekawe szczegóły, dotyczące ceny zboża, mięsa, paszy i innych środków spożywczych w różnych okolicach Królestwa. Materyał ten jednakże zaledwie raz jeden został ogłoszony, mianowicie w roku 1863. A tymczasem jakże możnaby uczynić ciekawe wywody z corocznego porównania cen przedmiotów spożywczych ze statystyką urodzeń, ślubów i śmiertelności, lub z danemi kryminalistyki! Podobnie bez oglądania światła dziennego ginie materyał statystyczny, gromadzony przez Izby skarbowe co do przemysłu, handlu i rolnictwa. Gdybyśmy mieli go pod ręką, moglibyśmy znowu zrozumieć przyczyny, powodujące, że w jednych okolicach kraju śmiertelność lub zbrodnictwo dosięgają mniejszych, w innych — większych rozmiarów.

Jakeśmy zauważyli, przedstawiamy stan rzeczy według świadectw prof. Simonenki. Widzimy z tego obrazu, że niepodobna narzekać, aby nie istniał materyał statystyczny w kraju, lecz albo nie postarano się go zebrać, mimo całej możliwości zrobienia tego — jak np. co do podziału ludności według zajęć i wieku, albo też, chociaż zgromadzony, nie może doczekać się ogłoszenia drukiem. Zresztą, należy wspomnieć, że zblizka rzeczy przybierają nieco odmienny widok, już daleko mniej różowy. Każdy, kto korzystał ze statystycznych danych, pomieszczanych w *Pamiatnych knižkach*, wie dobrze, że jedną z największych wad jest tu zupełny brak jednolitości. W każdej niemal oddzielnej gubernii mamy do czynienia z odmiennem ułożeniem rubryk. Tu istnieją takie, tam inne. Dość wziąć do ręki księgi ludności w różnych guberniach i przypatrzeć się ich urządzeniu, aby spostrzedz panującą w tej mierze różnorodność. Brak jednolitości w zbieraniu tego samego materyału często zupełnie uniemożliwia zestawienie danych z różnych gubernij. Do tego dołącza się nieumiejętność w robocie. Liczby same przez się nic nam nie powiedzą, jeżeli nie zostaną odpowiednio zestawione z innemi. Ilość np. zawartych ślubów jest bez najmniejszego znaczenia, kiedy niewiadome będą rozmiary samej ludności z uwzględnieniem podziału na miejską i wiejską, oraz opuszczone zostanie porównanie z latami ubiegłemi. Tymczasem takie liczby bezwzględne są jedynie zbierane. Zgromadzenie ich i ułożenie w ogłoszonych wyciągach wymaga często wielkiej pracy a pominięcie pewnych szczegółów, nadających im właśnie całą wartość, jest jedynie następstwem braku specyalnego a umiejętnego kierownictwa. Podobnych zarzutów możnaby zrobić jeszcze wiele. Słowem, p. Simonenko streszcza w ostatnim rezultacie stan statystyki w następujący sposób. Źródła dla statystycznego poznania Królestwa są bardzo liczne i pozwalają na dokonanie nader szczegółowego przedstawienia, lecz jednocześnie bywają bardzo nieumiejętnie, a nawet niesumiennie wyzyskiwane, przytem ten wyzysk materyału surowego jest prowadzony bez jednolitego planu na przestrzeni różnych części kraju. Przytem zebrany materyał zostaje zwykle ukryty w archiwach i tylko wyjątkowo ogłaszany drukiem. Ten stan statystyki urzędowej dostrzegały oddawna odnośne władze, jak przekonywa raport gubernatora radomskiego z r. 1882. Jako środek zaradczy stawiano urządzenie w Królestwie instytucyj statystycznych na wzór istniejących w Cesarstwie, któreby przez ułożenie stosownych instrukcyj wprowadziły umiejętność i jednolitość w zbieraniu materyału, dawały baczność na sumienne wyzyskiwanie źródeł i zajęły się ogłaszaniem danych. Życzenia te doczekały się urzeczywistnienia w grudniu 1887, kiedy został powołany do życia komitet statystyczny dla Królestwa. Postawiono mu podwójne zadanie. Z jednej strony winien on dostarczać materyału, żądanego przez centralne biuro statystyczne w Cesarstwie, stosownie do zapotrzebowań; z drugiej, pozwolono mu zająć się szczególowszem zbadaniem Królestwa drogą samodzielnych a niezależnych poszukiwań. Naturalnie na nim spoczywa troska o nadanie jednolitości dotychczasowym źródłom i próbom statystycznym, oraz dozór nad sumiennością

i wiarogodnością materyału. Zbyteczna rozwodzić się nad pożytkiem z ustanowienia podobnej instytucyi. O znaczeniu jej przekonywa wymownie pierwszy tom *Prac warszawskiego komitetu statystycznego* *), ogłoszony świeżo drukiem, a zdający sprawę z zadań tej instytucyi, dotychczasowej działalności, oraz zamiarów na przyszłość. Są to czynności tymczasowo czysto przygotowawcze, zajmujące się poznaniem gruntu, na którym wypadnie komitetowi działać i rozwijać się. Składa on się z przedstawicieli wyższych władz Królestwa, administracyjnych, szkolnych, wojskowych i sądowych, z pewnej liczby profesorów uniwersytetu warszawskiego, wreszcie kilku obywateli kraju, jak fabrykant Handtke, L. Górski, L. Krasiński, S. Lubomirski i M. Epstein. Na posiedzeniu pierwszem, w lutym bieżącego roku, rozpatrzono i wyznaczono początkowe zadania. Zatrzymamy się nad najważniejszemi.

Uchwalono, aby różne władze Królestwa wygotowały możliwie szczegółowy spis wszystkich wiadomości statystycznych, zbieranych kiedykolwiek przez nie w przeciągu ostatnich 25 lat, z nadmienieniem, czy ogłaszano chociaż częściowo ów materyał drukiem, oraz gdzie i przez kogo, a nadto dano prawo urzędowi redakcyjno-statystycznemu zażądania tych istniejących zbiorów. W dalszym ciągu zgodzono się, aby mu wydać tak zwane *Obzory* gubernialne za okres przynajmniej ostatnich 10 lat, w celu zestawienia i porównania zawartego materyału, dotyczącego ruchu ludności, zasiewów i urodzajów zboża, przemysłu fabrycznego i podatków, z prawem uzupełnienia znalezionego tu zasobu faktycznego materyałem zgromadzonym w archiwach Izb skarbowych, Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Intendentury, Zarządu dóbr państwowych itd. Następnie poruczono redakcyi statystycznej ułożenie szczegółowego programu dla poszukiwań w Królestwie, któreby pozwoliły z czasem skreślić jego położenie pod każdym względem. Wreszcie, jako sprawę największej wagi, która powinna poprzedzić inne i służyć dalszej działalności za punkt wyjścia, uznano potrzebę statystyki, tyczącej się siedzib ludności i składu, oraz dobrobytu ekonomicznego.

Z posiedzenia komitetu trudno jednakże nabrać wyobrażenia o przyszłej działalności, chociażby dlatego, że jest podana zbyt ogólnikowo, jak zresztą inaczej być nie może. Dopiero drobiazgowsze opracowania urzędu redakcyjno-statystycznego rzucają bardziej określone światło. Wprawdzie są one dotychczas bardzo nieliczne, co nie przeszkadza przecież, aby dokonanie ich i urzeczywistnienie nie posiadało ogromnego znaczenia dla znajomości kraju. Mówiąc to, mamy na myśli program, wypracowany przez prof. Simonenkę, owego przygotowawczego zbadania siedzib ludności wiejskiej, które, jeżeli zostanie należycie przeprowadzone, bezwarunkowo lepiej nas poznajomi z położeniem ekonomicznem, aniżeli wszelkie dotąd zebrane i ogłoszone wiadomości. Z tego powodu zatrzymamy się nieco nad tym programem.

Z jednej strony mamy tutaj statystykę w obrębie oddzielnych siedzib, z drugiej — gmin całych. Mianowicie każda pojedyncza siedziba — z wyszczególnieniem jaka, tj. czy jest osadą, wsią włościańską (przytem należy uwzględnić, czy była ona dawniej własnością skarbową, donacyjną lub prywatną), zaściankiem szlacheckim, kolonią niemiecką lub obcokrajową, albo wreszcie chłopską w drodze parcelacyi folwarków i w jakiem położeniu przy osadzie, winna podać liczbę swojej ludności stałej i niestałej, z podziałem na płci i odznaczeniem żydów i obcokrajowców, jako też z uwzględnieniem podziału na rolników i żyjących z jakiejś innej pracy. W dalszym ciągu znajdujemy rubryki, ile jest domów i jakich — drewnianych, glinianych lub murowanych; ilość ziemi z podziałem na orną, łąki i lasy; liczbę włościan posiadających — z wyszczególnieniem, ilu posiada mniej niż 3, ilu pomiędzy 3—15 i wreszcie ilu ponad 15 morgów; liczbę bezrolnych; odległość danej siedziby od zarządów i sądów gminnych, parafii, szkoły, stacyi pocztowej; wreszcie uwagi co do dróg komunikacyjnych, fabryk, jarmarków, szkół, zakładów dobroczynnych itd. Dokonanie podobnego spisu w obrębie całego kraju dałoby nam bardzo szerokie pojęcie o jego stanie. Lecz jeszcze szerzej traktuje ten przedmiot statystyka składu ludności i majątków według gmin. Prof. Simonenko odróżnia tu trzy typy, a mianowicie gminy czysto wiejskie, złożone z dawnych osad i wreszcie mieszane. W tablicy znajduje się aż 124 pojedynczych rubryk. Każda gmina winna byłaby podać liczbę oddzielnych gromad wiejskich i osad włościańskich; zaludnienie według płci z lat 1879 i 1889 dla zbadania przyrostu; rozmiary gruntów w posiadaniu oddzielnej gromady włościańskiej, z podziałem na pszenne, żytnie, łąki i paśniki; ilość osad włościańskich z podziałem na trzy powyżej wspomniane kategorye co do wielkości gruntów oraz z uwzględnieniem, ile z pośród nich korzysta z serwitutów leśnych lub pastwiskowych, lub jednych i drugich i w jakich rozmiarach; ilość bydła rogatego (wołów, krów, jałowizny) i koni; liczbę osad, posiadających grunty w szachownicy wraz z liczbą takich odrębnych kawałków; rozmiary gruntów, które włościanie zyskali już po r. 1864 drogą kupna lub uregulowania serwitutów; przeciętną wartość morga różnych rodzajów ziemi włościańskiej; wysokość zarobku parobków w pieniądzach i ordynaryi oraz najmitów z uwzględnieniem płci; stan kas zaliczkowo-pożyczkowych, jeżeli one istnieją, i wysokość podatków rządowych i gminnych. W podobny sposób urządzono rubryki dla niewłościan w gminie, naturalnie z uwzględnieniem istniejących w tej mierze różnic. Folwarki podzielono na 5 kategoryj: poniżej 15 morgów, pomiędzy 15 a 90, 90 a 300, 300 a 600 i powyżej 600 itd. Wreszcie ustanowiono rubryki co do ogólnego zaludnienia gminy, ruchu ludności, rozmiarów fabrycznej produkcyi i przemysłowego personelu. W końcu idą ogólne uwagi co do gatunku gruntów, dróg komunikacyjnych, rynków zbożowych, stanu kultury rolnej, źródeł zarobkowania ludności niestałej, zajęć ludności starozakonnej i wpływu jej na pozostałą, ogólnego stanu zamożności itd.

Jak widzimy, pierwsza czynność, do której ma zabrać się urząd statystyczny, jest podjęta w szerokich rozmiarach i dotyczy bezwarunkowo najbardziej palącego zagadnienia. Idzie tylko o to, aby nie dawała czekać na siebie zbyt długo i została dokonana w sposób odpowiadający rzeczywistości. Na zakończenie zanotujemy jeden szczegół z pierwszego posiedzenia komitetu statystycznego. Między innymi zabrał tu głos fabrykant Handtke. Wypowiedział zdanie, iż głównym obowiązkiem statystyki jest nie zbieranie materyału teoretycznego (?), lecz współdziałanie w kierunku zwiększenia dobrobytu kraju. Dobrobyt ten zależy przedewszystkiem od rozwoju przemysłu, i zbadanie wywozu i przywozu towarów z tego powodu zasługuje na najpierwsze uwzględnienie. Przedstawiciel panów przedsiębiorców fabrycznych widocznie dobrobyt fabrykantów utożsamia z dobrobytem całej ludności i gotów odsunąć w daleką przyszłość poznanie chociażby położenia milionów ludu włościańskiego dla dogodzenia interesowi jakichś kilku setek swych współtowarzyszów.

*K. R. Żywicki.*

*) *Trudy warszawskago statisticzeskago komiteta. Wypusk I.* (O zadaniach komitetu, zorganizowaniu statystyki, sposobach zliczenia ludności i statystyce siedzib w guberniach Królestwa), str. 154.

## KILKA UWAG O SAMOBÓJSTWIE

pod względem psychologicznym.

### II.

Energia żywotna, wytwarzając się w organizmie, musi być zarazem zużywaną. Zużywa się ona już to w czynnościach fizyologicznych, już to w czynnościach psychicznych. Im więcej zużywa się jej na pierwsze, tem mniejszy jej zasób pozostaje dla ostatnich—i odwrotnie. W każdym razie zbytek energii pobudza organizm do działania, zapomocą którego zużywa się jej nadmiar; brak jej przeciwnie skłania do bezczynności, spoczynku, który zaoszczędza energię posiadaną i odzyskuje straconą. Zużywanie nadmiaru energii za pomocą działania w jakiejkolwiek formie, dostarcza organizmowi pewnej sumy przyjemności; podobnież wypoczynek po pracy i utrudzeniu. Przeciwnie bezczynność przy nadmiarze energii i czynność przy jej wyczerpaniu powodowują przykrość i cierpienie. Takie są warunki przyjemności, a zarazem i przykrości, jakie człowiek znajduje w samem poczuciu swego istnienia, niezależnie od okoliczności zewnętrznych, które na te warunki rozmaicie działają. Cenimy życie i pragniemy go o tyle tylko, o ile ono jest przyjemnem, o ile wartość jego umiemy podnieść za pomocą celu, jaki mu zakreślamy, i nadziei, jakie nas ożywiają, o tyle nareszcie, o ile boimy się śmierci, którą wyobraźnia rozmaicie sobie przedstawia.

Czemże to się dzieje, że przyjemność towarzyszy przyrostowi, przykrość zaś ubytkowi energii żywotnej? Skąd pochodzi, że człowiek i wogóle każdy organizm żyjący szuka przyjemności, która potęguje w nim siły żywotne, a unika przykrości, która je obniża? Czy właśnie ta harmonia między faktem czysto psychicznym, jakim jest uczucie, a zjawiskiem fizyologicznem — wzrostem i upadkiem sił fizycznych — nie stanowi istoty instynktu samozachowawczego, który, będąc aktem przedustawnym, musi poprzedzać wszelkie doświadczenie, jako konieczny jego warunek? Można tak było zapatrywać się na rzecz, pokąd nie została ustalona teorya powszechnego rozwoju; obecnie zaś, kiedy samo życie pojmujemy jako fakt postępowego rozwoju przyrody, musimy uważać i ową harmonię między uczuciem wogóle i wszelkimi jego przejawami, a koniecznymi warunkami życia, jako wypadek przystosowania się organizmów do otoczenia i doboru naturalnego. Wszystkie nasze wrodzone skłonności, upodobania i popędy do jednych rzeczy, wstręt do innych, zarówno, jak i owe ruchy mimowolne, jakie wykonywamy w chwili grożącego nam niebezpieczeństwa, poprzedzają wprawdzie doświadczenie indywidualne i w tem znaczeniu można je nazwać instynktem samozachowawczym, ale nie są bynajmniej objawami jakiejś władzy tajemniczej, mającej początek nadprzyrodzony. Są one bezpośrednim wypadkiem doświadczenia rasy, powolnego w ciągu długich wieków przystosowywania się organizmu ludzkiego do warunków otoczenia, do stosunków bytu społecznego. Świadczy o tem wymownie fakt, że zdolność odczuwania przyjemności i przykrości rozwija się stopniowo w organizmach zwierzęcych równolegle z rozwojem układu nerwowego; a następnie, że w szeregu tak zwanych instynktowych upodobań, skłonności i popędów, których zaspokojenie bywa dla nas przyjemnem, wiele jest takich, co nietylko nie są dla nas pożyteczne, ale nawet wręcz szkodliwe ze względu na dzisiejsze warunki bytu, jakkolwiek musiały być pożytecznemi dla naszych przodków, inaczej bowiem nie mogłyby się utrwalić w ich organizmie.

Człowiek przeto, który się pozbawia życia, jak nie działa pod wpływem kaprysu, niczem niewytłomaczonego, chociaż może

działać dowolnie z całą świadomością pobudek, które go do tego skłaniają; tak również nie podlega zboczeniu umysłowemu, którego by charakterystyczną cechę stanowiło zanikanie instynktu samozachowawczego, pomimo że bywają wypadki samobójstwa, popełnianego wskutek obłędu umysłowego. Skraca on dobrowolnie swe życie dlatego, że staje się ono dlań ciężarem nie do zniesienia, że stracił wiarę w siebie i w wyższe zadania życia — a przyszłość przedstawia mu się w wyobraźni jako nieprzerwane pasmo cierpień bez ulgi i pociechy, słowem dlatego, że dzięki cierpieniom bądź fizycznym, bądź moralnym, życie stało się dlań wstrętnem, a natomiast śmierć pożądaną.

Usuwając więc na bok takie przypuszczenia, jak wolna wola i instynkt samozachowawczy w znaczeniu władzy, stanowiącej jedyną dźwignię życia, musimy szukać wyjaśnienia natury samobójstwa w granicach ścisłej obserwacyi, w faktach, jakich nam dostarcza z jednej strony psychologia, z drugiej — statystyka, posługując się w razie potrzeby takiemi tylko przypuszczeniami, do jakich nas powyższe fakty upoważniają.

Przedewszystkiem potrzeba zaznaczyć, że samobójstwo, jak wszelka wogóle czynność ludzka, jest rodzajem oddziaływania na czynniki zewnętrzne, oddziaływania, które jest wiernym objawem stanu duszy, pewnego jej nastroju uczuciowego, nadającego odpowiedni kierunek jej myślom i chęciom.

Statystyka uczy nas, że samobójstwo jest faktem czysto społecznym, tj. takim, który się dokonywa wyłącznie pod wpływem stosunków ludzkich, wywołujących te lub inne uczucia, mające to wspólnego, że będąc przykremi, obniżają energię żywotną, a wyczerpując stopniowo siły fizyczne i moralne, czynią człowieka niezdolnym do walki życiowej. Rozważane ze stanowiska doboru naturalnego, samobójstwo jest eliminacyą, usunięciem z pola walki osobników, które nie umieją, czy nie mogą przystosować się do danych warunków bytu społecznego. W społeczeństwach pierwotnych, których stosunki są proste, jaknajmniej złożone i wśród których przystosowanie z tego powodu bywa łatwem, samobójstwo jest zgoła nieznanem. Występuje ono dopiero w społeczeństwach bardziej rozwiniętych i staje się coraz częstszem w miarę, jak stosunki społeczne, różniczkując się, wytwarzają związki coraz bardziej zawikłane i przez to samo powiększają z jednej strony wymagania społeczne, z drugiej — potrzeby indywidualne. Przystosowanie w tych warunkach, polegające na pogodzeniu swych potrzeb z wymaganiami społecznemi, nastręcza takie trudności, że jednostki mniej energiczne, mniej zręczne, a przedewszystkiem bardziej wrażliwe nie mogą im podołać — i dobrowolnie usuwają się z pola walki, która im nie obiecuje zwycięztwa. Dlatego też z postępem oświaty roczny procent samobójstwa coraz bardziej wzrasta, podnosząc się jednocześnie lub opadając stosownie do zmian, jakie w danem społeczeństwie zachodzą pod względem politycznym, ekonomicznym, religijnym itd. Procent samobójstwa dla każdego społeczeństwa jest inny i zostaje w ścisłej zależności od warunków geograficznych i etnograficznych — i utrzymuje się zawsze mniej lub więcej na tej samej wysokości względnej. Dowodzi to, że ono, rozważane ze stanowiska społecznego, jest faktem koniecznym, jako skutek pewnej przyczyny, koniecznym w tem znaczeniu, że gdy przyczyna jego jest dana, musi ono nastąpić niezawodnie; ale nie w tem, żeby przyczyna jego nie mogła być przez społeczeństwo w jakiś sposób usuniętą, a przynajmniej osłabioną. Do podobnego wniosku doprowadza nas też psychologia, która widzi w samobójstwie oddziaływanie jednostki na czynniki zewnętrzne, jakiemi są stosunki życia społecznego, konieczny objaw pewnego stanu duszy. Stan ten wytwarza się powoli i bywa zwykle następstwem, jeżeli nie win i błędów własnych, to w każdym razie przodków, za których grzechy pokutujemy. Chociaż więc samobójstwo, jako skutek danej przyczyny, jest koniecznem, przestaje niem być ze względu na swą przyczynę, która zależy od naszej woli i której usunięcie usuwa zarazem i skutek. Konieczność samobójstwa, jak widzimy, nie jest fatalistyczną, z wyroków przeznaczenia pochodzącą, ale deterministyczną, to jest taką, która zależy od warunków świata rzeczywistego, zmiennych same przez się i dających się odmienić za pomocą reform społecznych i umoralnienia jednostek.

(D. c. n.).

*Władysław Kozłowski.*

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## LISTY PETERSBURSKIE.

*Petersburg, 2 lipca.*

Kto pozostaje latem w Petersburgu, rozumie, co trapiło starożytnych myślicieli, stojących nad gruzami Jerozolimy i Kartaginy: tam, gdzie kipiało życie, zapanowały: wapno, cegła, piasek, kamień... Według teoryi Darwina, wszelkie żyjątko stosuje się do otoczenia — owoż człowiek wśród gruzów zaczyna tracić uczucie i przyobleka się skorupą głazu.

Odwiedziłem niedawno jednego z niedobitków *sezonu* i zadziwiłem się; zwykle rzeźki i wesoły — upadł pod brzemieniem *chandry*...

— Nie — woła — żyć tak nie można! Jeżeli nie grasz w winta, nie wiesz, co z sobą począć... Jedziesz na *daczę* do znajomych, zaraz dają ci kartę do ręki; prosisz do siebie kogoś, siedzi jak struty, póki zielony stolik nie orzeźwi ducha — licho wie co!..

— Szanowny panie — rzekłem — *wint* jest tak wielki, że gdyby ukazał się w XVIII wieku, układanoby na cześć jego ody... Znajdź pan wyższe zadowolenie nad *szlem bez atu*!..

— Jakto?! Czyż człowiek dlatego żyje? Czyż wszystko zbadaliśmy, wszystko wiemy?..

— Dalibyście pokój badaniom — przerwałem. Gdyby staruszek Sokrates umiał grać w winta, pewnie nie skończyłby tak smutnie.

— Ale nie byłby i Sokratesem... zubożyłby ludzkość! — rzekł mój rozgoryczony przyjaciel.

— Na to ci powiem, że na tysiąc ludzi chyba jaden coś słyszał o Sokratesie, a na dziesięć tysięcy jeden zna go bliżej, zaś jeden na sto tysięcy trochę dba o jego zasady. Co innego Aleksander Macedoński!!..

Po tak logicznem dowodzeniu opuściłem współbiesiadnika, lecz zaraza już nurtowała mi w łonie.

— Co jest szczęściem prawdziwem, moralnem? — pytałem siebie, a odgadłszy, że wśród piasku i kamieni nie znajdę odpowiedzi, jąłem grzebać się w prześnionych ideałach. O wielki Sokratesie — cóż to za pśtrocizna!.. Szczęście ogółu, i orle skrzydła i jakaś anioł-dziewica i... koniec końcem — *szlem bez atu*...

Kto z nas choć na chwilę nie był poetą? Owoż przypomniało mi się pacholę, co jeszcze nie rozumiejąc teoryi winta, pisało:

> Chlubniej raz orlem skrzydłem uderzyć w obłoki
> I paść wśród gromów burzy pod piorunu razem,
> Niż wiek cały motylem zbierać z kwiatów soki,
> Aż opadną ci skrzydła — i staniesz się płazem.
> ...Chlubniejsza jedna chwila błyskawicy jasnej,
> Co szerokiem ramieniem widnokrąg owionie,
> Niż długie życie płazu, który w norze ciasnej
> Zgnilizną wciąż oddycha i w zgniliznie ginie...

I gdzie się to wszystko podziało? Z latami człowiek zaczyna dbać o byle równowagę, ażeby zabrnąwszy wśród kałuży, nie runąć do błota.

Leroux jest zwolennikiem obłoków: z ogródka Arkadyi wzleciał na balonie w powietrzo i ze zwiniętym paraszutem rzucił się w dół. Jaka szkoda, że wzbroniono owych napowietrznych skoków! Możebyśmy doczekali i tej chwili, gdy jakaś maluczka sprężynka w parasolu pęka i człowiek rozbija się na miazgę.

W skokach Leroux, krom hazardu, nic innego niema. Paraszut otwarty aeronautom znany jest dawno, a nauka wojenna korzysta i ze zwartego; mianowicie dla oświetlenia nocą obozu nieprzyjacielskiego, puszcza się rakietę z przymocowanym do niej paraszutem i masą bengalskiego ognia. W pewnej chwili iskra rakiety zapala masę i jednocześnie paraszut odłącza się od rakiety, poczem padając z płonącą masą w dół, otwiera się i zwolna opuszczając się, oświetla miejscowość. Leroux skorzystał z idei ślepo. Sens moralny z tego ryzyka jest tenże, co i w Monaco: staw cały majątek i albo staniesz się bogatym, albo kark skręcisz.

Trzeba się dziwić, że ów *sztukmajster* nie jest polakiem, bo takie bohaterstwo mianowicie nam by przystało: „uderzyć orlem skrzydłem w obłoki i paść pod... razem.“ Pracować zaś co dnia od rana do wieczora tylko kretom przystoi.

P. Jasiński (M. Bieliński) w nr. 124 gazety *Swiet* gniewa się na p. Świętochowskiego, że nazwał go korkowym kręgiem (*Prawda*, nr. 19). W całej tej sprawie ciężko zawiniłem, bom uczynił niegdyś przypuszczenie, że p. J. jest polakiem. W odpowiedzi szanowny literat wytłomaczył, że polskiego języka nawet nie rozumie. Mnie się zdaje, że tego i dosyć. Trzeba dziękować tylko Ormuzdowi, że p. J. pozostał przynajmniej słowianinem, bowiem spotkałem kiedyś innego Jasińskiego, co znał tylko język niemiecki i gdym uczynił przypuszczenie, że jest polakiem, zagniewał się i rzekł: Nieprawda! Naprzód nie umiem ani słowa po polsku, powtóre — jestem luteraninem itd.

Zresztą dla spokoju szanownego pisarza, możemy go upewnić, że ponieważ wcale nie jest Homerem, więc siedem słowiańskich miast nie będzie się spierało (na wzór greckich) o miejsce jego urodzenia. Powiedziałem, że jest polakiem, mimochodem, nie myśląc, ażeby p. J. to ubliżało... dziś najpokorniej go przepraszam.

A teraz przejdźmy do rzeczy poważnych: do pracy prof. Kariejewa.

Czyniąc przegląd wszystkich partyj w Polsce, przed rozbiorem, autor zgadza się z Kostomarowem, „że chociaż szlachta nie chciała znajdować się pod władzą królów cudzoziemskich, jednak ideałem jej był tylko porządek staroszlachecki... że Kościuszko narzucał jej jakąś inną, cudzą Polskę, z zasadami, które tchnęły rewolucyą francuską.“ Ważnem jednak było to, że w starej walce magnatów zagadnienia o reformach coraz uporczywiej stawiano na pierwszy plan. Prace sejmu czteroletniego i konstytucya 3 maja znalazły wśród mieszczan najgorętszych wielbicieli, poczem kolej przychodzi na włościan. Manifest Kościuszki nie był tworem samego tylko dyktatora: myśli w nim zawarte krążyły wśród patryotów. Wogóle jednak p. Kariejew znajduje, że na tak ważną pracę, jak przebudowanie państwa od dołu do góry, polakom już nie wystarczało czasu.

Historyę politycznej literatury polskiej przeszłego wieku dzieli na dwie części. W pierwszej widzi tylko rozprawy polity-

czne, w drugiej pojawia się i krytyka urządzeń wewnętrznych.

Okres pierwszy zaczyna się w 1709 r. i kończy się pracą Konarskiego w 1760 r. Dla skrócenia podajemy tylko nazwiska pisarzów, nie wymieniając nazw utworów. Karwicki 1709, Szczuka, Jan Jabłonowski 1730 r., Stanisław Leszczyński 1733 r., *Anonim*, Poklatecki, Stefan Garczyński i Stanisław Konarski 1760 r. Zresztą możemy jeszcze dołączyć pracę Siennickiego (1763 r.).

Jabłonowski i Garczyński przedewszystkiem mają na celu moralną poprawę ziomków. Inni są politykami: Karwicki powiada, że najgorszem złem jest rząd nieokreślony i radzi czystą monarchię lub czystą rzeczpospolitę. We wszystkich rozprawach autorów tego czasu, krom Konarskiego, nikt się nie targnął na *liberum veto*. Jabłonowski narzeka tylko na zbytnie nadużycie tego prawa; Siennicki nawet broni go, chociaż w rzeczywistości jego „nowoobmyślany sposób“ również znosi wolny głos. Utwór Stanisława Leszczyńskiego był programem kandydata tronu, a przeto wiele w nim zawiera się pochwał szlacheckiej wolności i dzielności; radzi ulepszenia w administracyi, finansach, wojsku, sądownictwie itp., elekcyę zaś i *liberum veto* z małemi zastrzeżeniami zachowuje.

Drugi peryod literatury zrodził się w łonie konfederatów barskich. Na pierwszym planie widzimy hr. Wielhorskiego, „republikanina,“ przeciwnika reformy Czartoryjskich. On to mianowicie zwrócił się do Mablego po radę. Lecz utwór tego ostatniego „O rządzie i prawach Polski“ Wielhorskiemu wcale się nie podobał; przeto w r. 1771 udaje się z tąż samą prośbą do Rousseau'a.

Prace Jana-Jakoba: *Rozprawa o rządzie polskim*, a także *Umowa społeczna*, miały wielki wpływ w Polsce. Sam Wielhorski, na podstawie rad Rousseau'a napisał „O przywróceniu dawnego rządu, według pierwiastkowych Rzeczypospolitej ustaw.“ O Mablym zupełnie zapomniano. Tymczasem p. Kariejew znajduje, że jego analiza ówczesnego stanu Polski jest niezrównaną, że wskazuje na bezprawia względem włościan, na *liberum veto*, na wszelkie konfederacye, sejmiki i elekcye, bez ogródek rokuje zgubę krajowi, jeżeli nie będą uczynione radykalne zmiany. Surowy ton uwag Mablego odstręczył odeń konfederatów barskich; grzeczny Rousseau bardziej się podobał. Rzecz dziwna — powiada p. Kariejew na innem miejscu — że nienormalny stosunek sejmików do *sejmu walnego* obaj francuscy pisarze dostrzegli; polacy zaś i potem nie zgłębiają tego stosunku i nie szukają środków obalenia go. Na pierwszym planie u polityków polskich XVIII w. stała sprawa władzy królewskiej; zwykle monarchiści byli przeciw *liberum veto*, republikanie starali się ograniczyć władzę króla. Zła, które sprawiały sejmiki, rozdzielając kraj na mnóstwo kraików, nie dostrzegano „i dlatego mamy prawo twierdzić, że polska myśl polityczna skierowana była na fałszywą drogę.“

Przed sejmem czteroletnim Stanisław Staszyc wydał dziełko p. t. *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego* (1785 r.). Był to pisarz zupełnie nowego kierunku; on pierwszy podjął kwestyę następstwa tronu, chociaż jego król był „królem malowanym.“ Całą władzę oddaje narodowi i nie samej tylko szlachcie, lecz i miastom. Za dziełem Staszyca ukazały się najważniejsze traktaty tej epoki — ks. Hugona Kołłątaja: *Listy Anonima do Stanisława Małachowskiego*, jako do kandydata na marszałka sejmu (1788 r.) i *Układ Rzeczypospolitej* (1790 r.). Autor widział zbawienie Polski w reformach radykalnych, a ostatecznie nawet w terrorze. Stronnik równości wszystkich wobec prawa, jednak za rzeczywistych obywateli uważał tylko ziemian, lecz i dla nich radzi ustanowić census. Dalej dowodząc, że z domem Jagiellonów Polska jako monarchia przestała istnieć, radzi urządzić prawdziwą rzeczpospolitę — a więc *sejm nieustający*. Przyczem zaznacza, że między rządem państwa i rządami województw powinien być ścisły związek.

Dodajmy, że w ruchu mieszczan 1789 r. i reformie 3 maja Kołłątaj grał niepośledni udział; po upadku zaś konstytucyi napisał jej historyę.

*Myśli polityczne dla Polski* (1789 r.) niewiadomego autora *) odznaczały się szczególną praktycznością. W nich autor bada przedewszystkiem wzajemny stosunek króla i sejmu; zgadzając się ze Staszycem i Kołłątajem, że tron winien być dziedziczny, radzi władzę oddać królowi.

Seweryna Rzewuskiego p. Kariejew nazywa „republikańskim republikaninem,“ który się lękał nawet „króla malowanego.“ Stronnik *liberum veto*, elekcyi, przeciwnik mieszczan i włościan, był przedstawicielem konfederatów targowickich.

Co się tyczy kwestyi polepszenia doli chłopa, coraz częściej zaczęto ją podnosić. Tak, krytycy poglądów Rzewuskiego: Kołłątaj, Jezierski, Potocki i biskup Krasiński — wszyscy zaczepiają o nią. Krom tego wydawano specyalne książki w tym przedmiocie. Pierwszym orędownikiem włościan w publicystyce był ksiądz Antoni Popławski (1774 r.), zaś w r. 1776 r. Józef Wybicki w „Listach patryotycznych“ do kanclerza Zamojskiego, układającego nowy kodeks, mówi o poddaństwie jako o prawie nienaturalnem i dowodzi, że Polska jest biedna, gdyż rolnik stał się niewolnikiem, przyczem radzi, aby grunt przyznano chłopu, „żeby los jego nie zależał od kaprysu i widzimisię ekonoma.“

Zamojski, przy opracowaniu kodeksu, wezwał do pomocy Wybickiego, a król żądał, aby ów pisarz był w liczbie posłów do sejmu 1780 r., lecz ten nie ośmielił się pokazać między podrażnioną szlachtą. Zresztą projekt Zamojskiego, chociaż skromniejszy, odnośnie swobody kmiecia, na sejmie został odrzucony.

Lecz sprawa nie zamarła. Staszyc w *Uwagach nad życiem J. Zamojskiego* (po pierwszym rozbiorze) pisze: Pod opieką szlachty Polska straciła sól i wodę (Wieliczkę i morze), ażali nie straci i chleba...„ Upadek Rzeczypospolitej będzie karą za ucisk chłopa.“ Wymaga przeto dla kmiecia wolności, prawego sądu, zniesienia pańszczyzny.

Jako odpowiedź na jego żądania ukazała się (1789 r.) książka p. t. *Uwagi nad uwagami*, gdzie autor przyznając niezbędność swobody, dowodzi, że jarzmo oduczyło chłopa myśleć o sobie, że ku wolności trzeba postępować powoli.

Oprócz rzeczonych rozpraw znajdujemy: „O poddanych polskich“ i „Odpowiedź na pytanie: Izali nieczułość w wyższych wiekach ku poddanym tak była opanowała serca polaków, że uczeni nią nawet zarażeni zostali?—czyli dodatek do dziełka o Poddanych polskich — roku 1789.“ Pierwszą z tych prac Kalinka przypisuje prymasowi, a Kariejew mniema, że obie są jednego pióra; zauważymy, że w tych rozprawach wspomniano nawet o oświacie chłopa.

Na obronę niewolnictwa „istniejącego od stworzenia świata“ wystąpił także „trynitarz Ignacy a Sancta Maria de Marcede“; lecz mu dano odprawę w *Uwagach praktycznych o poddanych polskich*.

Co do Kołłątaja, głównego autora konstytucyi 3 maja, znajdujemy u niego taką myśl: Nie może nazwać się swobodnym naród, gdzie człowiek nieszczęśliwy; nie może nazwać się swobodną ziemia, gdzie człowiek niewolnik... Żadne społeczeństwo nie śmie składać na ofiarę ludzi ludziom, tylko przestępca może być niewolnikiem społeczeństwa. Jednak w konstytucyi czytamy: Pan „w swoich majątkach jest pierwszym naczelnikiem ludu mieszkającego na jego ziemi...“

Ostatecznie polscy publicyści odnośnie do włościan mieli trzy żądania:

Naprzód swobody, chociaż nieraz z ograniczeniami, z opieką pana. Taki stan był we Francyi — przed rewolucyą.

Powtóre, zastąpienie pańszczyzny czynszem, z podziałem gruntów na *leny* — również na wzór Francyi do 4 sierpnia 1789.

Po trzecie, uregulowania stosunku chłopa do pana — na wzór Austryi.

O mieszczanach zaczęto mówić później, niż o włościanach — zaledwie przed samym sejmem i w czasie sejmu. Zaznaczymy trzech pisarzy: Staszyca, Anonima (prymasa?) i Kołłątaja.

Staszyc w *Przestrogach dla Polski* (1790) powiada: „gdyby miasto na równi ze szlachtą troszczyło się o kraj, nigdyby ruscy nie ośmielili się bezkarnie wziąć pierwszych senatorów z samego środka Warszawy. W jedną godzinę kilkadziesiąt tysięcy narodu, kochającego kraj, rozerwałoby ich na szczęty... Szlachta pod strachem niewoli winna dopuścić mieszczan do współudziału w rządzie.“ Kołłątaj tem się różnił od Staszyca, iż żądał, ażeby reprezentanci szlachty i mieszczan obradowali nie wspólnie, lecz w izbach oddzielnych.

Wreszcie i sami mieszczanie dobijają się o prawa i gdy sejm naznaczył „deputacyę miejską“ z osób przychylnych miastom, dla zbadania ich potrzeb — Bars, jurysta, jeden z doradców mieszczan, pisał: „Czyż tylko dla samej szlachty, która jest zaledwo trzydziestą częścią narodu, należy Polska? Mniejszość, nie mając pełnomocnictwa od większości, niema prawa nazywać się narodem i rządzić.“

Cała polemika w sprawie mieszczan ma inne podstawy, niż w sprawie włościan; mówiąc o chłopach, postępowcy opierają się na prawie naturalnem, tu zaś dźwięczy nuta samozachowania.

Co do pamfletów plebejuszowskich—tym najczęściej chodziło o osobisty interes i, jak się potem okazało, skoro bogaty mieszczanin dobijał się szlachectwa, zapominał o zasadach. Wyjątkiem w tym względzie był tylko Staszyc.

Po ukończeniu przeglądu literatury, prof. Kariejew w ostatnim rozdziale swych badań przechodzi do wyników ogólnych, przyczem popiera swe zdania poszukiwaniami Kalinki, Korzona, Pawińskiego, Kostomarowa, Kraszewskiego... Główny charakter rozpraw jest następujący:

Wymagania wybitniejszych myślicieli postępowców nie wszystkie mogły być urzeczywistnione w tak krótkim przeciągu czasu; tembardziej nie mogły one wejść w życie. Od czasów reakcyi jezuickiej za wiele minęło lat i polacy za długo mieli przekonanie o wyższości swych praw i urządzeń, ażeby mogli łatwo zrzec się ich. Zanadto też wielki przedział istniał między warstwami społecznemi, by przy najlepszej chęci dał się prędko wypełnić, a tych dobrych chęci brakło. Nawet w ustroju politycznym państwa sejm czteroletni tracił wiele czasu, a działał mało. Ostrożny projekt Ignacego Potockiego uległ takiej zmianie, że pozostały w nim tylko stare zasady: sejmiki nie straciły swego znaczenia, król nie zyskał władzy, dla włościan nic nie zrobiono i tylko miasta zyskały trochę praw, lecz i w tym względzie, dzięki nowemu postanowieniu o uszlachetnianiu mieszczan wybitniejszych, inni tracili swych lepszych przedstawicieli i nie mogli walczyć z silną kastą panującą.

Konstytucya 3 maja, jako nielegalna (zyskana drogą przewrotu), nie miała prawa liczyć na istnienie, chociaż i w niej, dla złagodzenia zacofanych, wyrzeczono się wielu reform, lub okryto płaszczem tajemniczym. Tak, zamiast nazwy publicystów: *sejm trwały*, użyto wyrazu: *sejm gotowy*, sukcesyę zamaskowano nazwą — wyboru familij; *liberum veto* zniesiono, lecz sejmiki

*) Jedni przypisują Wybickiemu, drudzy prymasowi; tegoż autora rozprawa „O poddanych polskich.“

zostały. Głośny 4 punkt konstytucyi „prawie nic nie uczynił dla włościan“ (Kalinka); wszystko zależało od dobrej woli szlachty, a tej dobrej woli było niezmiernie mało, inaczej twórcy konstytucyi nie potrzebowaliby zachowywać tyle ostrożności. Manifest Kościuszki dawał, czyli obiecywał włościanom więcej, lecz Kościuszko, wydając go, przekroczył pełnomocnictwo, w którem wyraźnie było zastrzeżone, że wszelkie akty zatwierdzające konstytucyę będą uważane jako przywłaszczenie sobie samowładztwa narodowego. Rząd nie ogłaszał rozporządzenia Kościuszki całe trzy tygodnie, a miejscowe władze też nie spieszyły z rozesłaniem; wielka część szlachty lękała się i zbrojnej chłopskiej siły i utraty robotników; tak (podług Korzona) pewien ksiądz uskarżał się, że wskutek zmniejszenia pańszczyzny, okolnik zyskał nienawiść i prześladowanie niektórych dziedziców, a nie wszyscy spełniali go.

Wracając do konstytucyi 3 maja, p. Kariejew tak kończy:

„Ażeby Polska mogła wówczas wyjść na nową drogę, potrzeba było reformy radykalniejszej: sejm powinien był wziąć górę nad sejmikami; władza — mieć większą siłę; szlachta — nie być całym narodem; mieszczanie — otrzymać coś więcej, niż prawo do szlachectwa; włościanie zaś — opiekę praw nie w słowach tylko. Od razu wszystkiego nie można było zdziałać, to też konstytucya 3 maja mogła być *pierwszym* krokiem na drodze wewnętrznych przemian, a nie zakończeniem reform... Polska potrzebowała radykalnej reformy, a na taką, jak się okazało, już brakło czasu.“

*N. B.*

# TEATR.

F. Dumanoir: *Oj kobiety, kobiety!* Komedya.

W pewnych okresach czasu powiewy dziejowe popychają całą masę ludzkich usiłowań do osiągnięcia jakiejś części wielkiego zadania postępu, zostawiając w chwilowem odrętwieniu bardziej zaspokojone pragnienia. Taką twierdzą, ku zdobyciu której — świadomie czy nieświadomie — używane są w chwili obecnej najlepsze siły ludzkości—jest zadanie ekonomicznego wyzwolenia mas, przed którem droga idealno-duchowego rozwoju zostaje zapartą. Nie odsądzenie więc od wartości rozwoju tego jest przyczyną zaniedbania jego niwy, lecz z własnego jego posiewu zebrany plon etycznych wskazań, przypominających, że niwa ta upieszczeniem nielicznych garstki wybranych, lecz całej rzeszy — być powinna. Zanim to nastąpi, tłumy ciurów, wlokące się za pracowitym i myślącym zastępem, ciżby dziejowych najmitów rozkładają na złotych niwach swoje biwuaki, rozpinają namioty i plugawią grunt, w którym jest posiew najczystszych duchów. Dzięki to im grządka sztuki porosła samym chwastem...

Smutne to w stosunkach ludzkich, że każde nadużycie — o ile nie jest chłostane, bite, wyszydzone — staje się wnet zasadą. W stosowaniu tak powstałej zasady dowiedzieliśmy się, że *poważne* znaczy tyle co *nudne*, a widzimy przed sobą otwartą drogę do nazwania rozsądku dziwactwem, myśli — rozrywką, godziwą chyba dla pensyorzy w jakimś Salpêtrière. Oznacza to, że u ogółu ludzi szczególny uczuwać się daje brak instynktu ostrzegającego przy przekraczaniu granicy, za którą niema naturalnego zaspakajania potrzeb i upodobań zdrowej natury, lecz dzikie, bezmyślne i bezładne podniecanie jednej słabostki, aż do rozmiarów choroby. W organizmie jednostkowym, gdy idzie o zachowanie jego bytu, głos instynktu tego przemawia mocno i nie milknie długo, cichym zaś jest i zdławionym, gdy idzie o zachowanie zaszczytnych zdobyczy ludzkiego ducha i o uchronienie od rozkładu i zwyrodnienia czynników rozwojowych, którym je zawdzięczamy: śmiałej myśli, zdrowej wyobraźni, silnego i szlachetnego uczucia.

Stąd potrzeba krytyki i ze strony jej — ujmowania się za tem, co bezwątpienia zginąć, ani zamilknąć na zawsze nie może, lecz co pod naleciałością współczesną, przypadkową zostać może na długo zatrzymanem w rozwoju. Krytyka atoli podejmuje zadanie to nie zbyt chętnie, paraliżowana wymogami tak zwanego ducha czasu, to jest prądu bieżących, nizko sięgających upodobań, które mienią się i rozprzestrzeniają, jako następstwo chwilowego braku zachęty dla dążeń idealnych ze strony dziejowego kierunku usiłowań ludzkich. Skoro ten przypadkowy, wsteczny prąd przygniata, lub unosi i zabarwia — talenty, to tem łatwiej przejmuje niemocą krytykę, która, ulegając mu, nie gwałci swych twórczych pragnień, a stosowaniem zasady: *laisser faire, laisser passer* — zyskuje spokojny dobrobyt.

Nie jest to tak dalece dziwnem, że do Augiaszowej stajni mało kto chce wejść z miotłą w ręku. Pojedyncze usiłowania nie oczyszczą jej, wątpić nie można... Lecz nie idzie o to by odrazu przeistoczyć ją na przybytek wonny i anielskich chórów pełny, dość zostawić ślad miotły tam, skąd następcy nasi zbiorowemi siłami łatwo i szybko usuną choćby wiekową naleciałość. Palec muru nie obali, lecz może na nim nakreślić: Mur ten jest bezużyteczny, zasłania słońce, dzieje go zwalą.

* * *

Teatr Letni obdarzył nas nową komedyą, jest ona — naturalnie — tłomaczona z francuskiego, wyprowadza mieszczan i dla nich przeznaczona.

Jeszcze Słowacki pisał o francuzach, że „lubią tylko małe komedyjki, w każdej musi być bey algierski, tego wiecznie dręczą...“ Z biegiem czasu ów bey przeobraził się w swojskiego *bourgeois*, rentyera, w człowieka, który nic nie robi i niczem nie jest zdolny się zająć, który nie posiada charakteru, tylko nałogi, upodobania, śmiesznostki i choroby. Farsa go dręczy, a nas dręczą tą farsą. Ale dlaczego właśnie nas?

Mieszczaństwo francuskie ma prawo stawiać teatrowi zupełnie inne, niż my, wymagania. Złożyło ono dowody, że bez zachęty i satyry na scenie, potrafi zrozumieć i spełnić swoje zadanie. W ciągu kilkudziesięciu lat, które niczem rozwoju jego nie tamowały, dowiodło, że nie jest próżniaczem, jak to zdaje mu się zarzucać farsa, a mogąc pochlubić się przed światem dowodami kolosalnej, już spełnionej pracy, ma prawo powiedzieć: nie potrzebujemy nauczania na scenie, chcemy rozrywki, gustom zaś naszym odpowiadają ładne féeries i wesołe, zrozumiałe dla nas farsy. To też ów nieszczęśliwy bey czyli syty truteń, powtarzający się w farsie, nie jest satyryczną rózgą, lecz tylko istotą, która najwięcej się nadaje do tego, by jej włożono błazeński kolpak na głowę i uczyniono źródłem komizmu. U nas dzieje się inaczej, jak się dzieje, o tem mówić tu szeroko nie będę, zauważę tylko, że nasi pisarze mieszczaństwa rozumieją potrzebę głębszego wnikania krytyki w stosunki tej społeczności i niekiedy opierają swoją satyrę nie na karykaturalnej przesadzie, lecz na głęboko pojętych i konsekwentnie przeprowadzonych charakterach; skoro więc mamy karmić się sztuką mieszczańską, to daleko właściwiej byłoby zużywać płody swojskich kapelmistrzów mieszczańskiej operetki.

Bo i cóż tak ważnego zaszło w tem zgromadzeniu beyów, nad którymi znęca się Dumanoir? Oto— okazało się, że ich kobiety są gadatliwe. Objaw taki uderza przedewszystkiem swoją naturalnością. Pustki natura nie cierpi, a skoro wytwarza się ona w ludzkich głowach, wtedy napływają w nią echa tego, co robią inni ludzie — to jest plotka. W jakim celu Dumanoir podnosi ten objaw? Jedynie dla rozśmieszenia widza. Nie zapytuje on o przyczyny tego objawu, nie wiąże go ze zdumiewającem próżniactwem i bezmyślnością całego grona ludzi, których maluje, i nie powiada swoim kobietom: uczcie się, pracujcie, kochajcie sztukę— a głowy wasze pełne będą myśli i pięknych obrazów. Zaledwie przestrzega je, by przestały roznosić plotki, gdyż mogą spowodować nieprzyjemności swym mężom i znajomym.

Błaha osnowa, brak charakterów, z umyślną przesadą piórem karykaturzysty kreślono postacie — nie pozwalają sztuczce tej ani na włos wyrastać nad miarę farsy. Jako taką zalecałoby ją uprzątnięcie ze sceny niewiernych żon z ich kochankami, którzy swoje „kwestye“ rozstrzygają gdzieś za oczami widza, i humor nie w najgorszym gatunku. Być może, że posiada ona jeszcze jakie zalety np. sceniczności, nie ja, bezwątpienia, będę się starał je wykazać. Nie rozumię i nie potrafię zrozumieć logiki, która pozwala w obrazku przedstawiającym kocią łapkę lub sprzączkę do trzewika — upatrywać np. dobrego rysunku, znakomitej techniki itp. Jabym tego wszystkiego dopatrzeć nie mógł, gdyż przedewszystkiem umieściłbym płody takiego... malarstwa w piecu, lub zawiesił je w teatrze Nowym...

Skoro wspomniałem o tym pożądanym ścieku dla fars i krotochwil, niech mi wolno będzie zapytać, czem Muza tego przybytku zamierza karmić rzeszę, zgłodniałe igrzyska i przybywające po zwykłą strawę, jeśli tear letni farsę jej zabiera? Nie ładnie to.

*F. G. B.*

## GŁOS W SPRAWIE PISOWNI.

I znowu bezład pisowni polskiej pobudził kogoś do wystąpienia bezimiennie z „50 prawami grafiki, ortografii i gramatyki.“ Na czterech stronicach zawarł autor swe „prawa,“ wyrażone zwięźle i stanowczo. Na większość ich zgodzić się można i należy, gdyż rzeczywiście oparte są bądź na zasadach, bądź wreszcie na zdrowym rozsądku. Tak np. słuszną jest rada, ażeby pisać: pruć, kluć, nuta (zamiast: próć, kłóć, nóta), lub bliski, śliski (zamiast: blizki, ślizki). Ale nie pojmujemy racyi uprawniania dziwolągów i podtrzymywania bezpotrzebnych różnic. Dlaczego np. autor głosuje za „każdą razą,“ kiedy to wcale nie jest zwrot powszechnie przyjęty, a „każdym razem“ odpowiada i logice i zwyczajowi? Dalej, dlaczego radzi pisać: „odemnie, nademną, przedemną,“ nie zaś: „ode mnie i nade mną,“ podobnie jak: „we mnie, ze mną“? Bo tak wymawiamy? Ależ my również wymawiamy łącznie: „zwiednia, zwarszawy, zpłocka“ — więc i tu przyimek należałoby pisać razem z rzeczownikiem. Następnie mamy pisać: „wsi, nocy“ (nie: „wsie i noce“), oraz „*gałęzi* zwieszały się z drzew.“ Wątpimy, czy większość temu „prawu“ się podda. Autor pozostawia: „dokumenta, fakta, interesa,“ ale każe pisać: „teatry, koncerty“ itp.; po co to odróżnienie? Czemu nie: „dokumenty, fakty, interesy“? Już dawniej proponowano: „upadszy, zjadszy, przywykszy“ — i ogół tej formy nie przyjął. Również oświadczylibyśmy się za ujednostajnieniem zakończenia 4 przyp. l. p. w rzeczownikach żeńskich: „łanię, matkę, opinię, lekcyę“ (a nie: „opinią, lekcyą“).

„50 praw“ kłopotu ustalenia pisowni polskiej z głowy nam nie zwala, ale stanowi nowy dowód, że opinia w tej sprawie coraz bardziej odstępuje od legitymizmu gramatycznego i poddaje się głosowi powszechnemu, że wreszcie potrzeba zaprowadzenia ładu w chaosie odczuwana jest ciągle. Czy

ona będzie zaspokojoną — nie wiemy, zwłaszcza przy hipopotamowym pośpiechu Akademii krakowskiej, która ma proces ortograficzny rozstrzygnąć w ostatecznej instancyi. To tylko nie ulega dla nas żadnej wątpliwości, że ta pisownia zwycięży, która będzie miała najmniej prawowierności i pedanteryi, a najszerzej uwzględni — naukowe, czy nienaukowe, prawidłowe, czy nieprawidłowe, ale ustalone — zwyczaje języka ogółu.

## FEJLETON.

## LIBERUM VETO.

Hiobowe wieści o nieurodzaju. — Modły ziemian lubelskich do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — Czy nie daremne? — Do kogo chłopi się zwrócą. — Ich instytucya ratunkowa. — Zbawienie w kartoflu. — Wyprawa rzezimieszków warszawskich na wystawę paryską. — Ajzyk Sygnet oglądający wieżę nie Eiffla. — Odznaczenie Chełmońskiego i jego zatarg z Towarzystwem sztuk pięknych. — Sprzeczka, czy nieznajomość rzeczy. — Nowy sen p. Jasińskiego. — Ojciec przeciw synowi.

Zewsząd nadchodzą skargi i doniesienia, że czego nie zniszczyły wody wiosenne, to wysuszyły skwary letnie. W niektórych okolicach zboża albo całkiem przepadły, albo dojrzały mizernie w słomie i ziarnie; zarówno właściciele większej jak i mniejszej posiadłości ziemskiej nietylko poniosą znaczne straty w dochodach, ale nawet nie zdołają przezimować inwentarza żywego. Według powszechnej wróżby przed zimą nastąpi w całym kraju olbrzymia na rynku wyprzedaż koni, bydła i owiec, których cena skutkiem tej podaży spadnie do bardzo nizkich poziomów, ażeby znowu naturalną rzeczy koleją na wiosnę podskoczyć odpowiednio. Ponieważ, jak wiadomo, śród naszych ziemian mocno stojących dębów jest niewiele a wiotkich trzcin mnóstwo, więc rok obecny może między nimi sprawić dotkliwe spustoszenia. To też gromada ich (z Lubelskiego) woła błagalnie w *Wieku*: „Piszcie i agitujcie, aby władze Towarzystwa Kredytowego na nasz opłakany stan zwróciły uwagę. Wszakże to instytucya nasza, my wszyscy stowarzyszeni solidarnie odpowiadamy przed właścicielami listów zastawnych, my, płacąc kary za opóźnienia rat, składamy się na fundusz zapasowy, który w pokaźnej sumie kilku milionów rubli w kasie Towarzystwa spoczywa. Przez nas złożony to grosz i na nasz ratunek powinien być użyty. Pragniemy, aby Towarzystwo, ze względu na wyjątkową i powszechną klęskę nieurodzaju, umorzyło nam zupełnie jedną ratę, gdyż nie jesteśmy w stanie jej zapłacić, z powodów czysto losowych, bynajmniej od nas niezależnych. Niewątpimy, że do naszego głosu przyłączą się wszyscy ziemianie i że wpłyną na mandataryuszów swoich, składających władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, aby się wzięli do działania w tym duchu i rozpoczęli bezzwłocznie kroki, mające na celu zaradzenie ciężkiej, a powszechnej potrzebie. To, czego żądamy, nie przechodzi granic prawa, ani możności finansowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a mamy zasadę spodziewać się, zarówno po mandataryuszach naszych, jako też i po dobrej woli szanownego prezesa Dyrekcyi Głównej Towarzystwa, że głos nasz będzie wysłuchany i że zarząd instytucyi uczyni do władzy wyższej przedstawienie, aby pozwoliła umorzyć nam jedną ratę. Spodziewamy się też, że władze Towarzystwa wezmą się do tego energicznie i szybko, ponieważ zachodzi tu istotne *periculum in mora*." Czy władzo Towarzystwa Kred. Ziems. „wezmą się do tego energicznie i szybko, a nawet czy wogóle „wezmą się" — orzec trudno, chociaż po za wszelkiem wątpieniem leżą dobre chęci (niefrazesowe) niektórych radców i szanownego prezesa Dyrekcyi Głównej. Być może, iż będziemy mieli w nowej odmianie widowisko, jakie niedawno rozegrało się w Towarzystwie kredyt. miejskiem, kiedy przerażeni ciężarami kanalizacyi właściciele domów odwołali się o pomoc do swojej kasy i „swojego grosza," który powinien być użyty na „ich ratunek." Wtedy odpowiedziano im: jesteśmy instytucyą finansową i wymagamy dla pożyczek bezpieczeństwa, a funduszu żelaznego nie ruszymy. Bezpieczeństwa dla nowych pożyczek zadłużona szlachta nie da i nawet ich nie wymaga, prosi tylko o „umorzenie jednej raty;" chodzi więc o to, czy statuty i księgi rachunkowe pozwolą Towarzystwu na taką wspaniałomyślność, którą byłaby bardzo kosztowną. Życzę posiadaczom większej własności ziemskiej powodzenia w tych zabiegach, ale jednocześnie zapytam: kto, jaka instytucya ratować będzie chłopów, na których klęska nieurodzaju również spadnie? Oni, wiecznie niemi w największych swoich dolegliwościach, milczą i teraz, nie wypowiadają swoich skarg i próśb za pośrednictwem żadnego organu, nie zwierzają się z niemi do nikogo. Czyż ich nikt i nic ratować nie będzie? Owszem, mają swoją instytucyę, która ich nigdy nie opuszcza i nigdy im pomocy nie odmawia, która ich ocalała przez wieki niedoli i tym razem również nie zawiedzie — instytucyą tą jest niczem niepokonana, chłopska wytrwałość.

— Cóż zrobicie, kiedy zboże nie urodziło? — pytałem raz gospodarza, zbierającego chudy i mizerny plon.

— Aby kartofle były — odrzekł — to i przeżyjemy.

— A jeśli nie będą?

— To i tak dobiedujemy.

Co znaczy owo „tak" — określić trudno, a jednakże ono coś znaczy. Jest to sposób istnienia — wodą, powietrzem, pobożnemi westchnieniami i uporem. Dzieci mrą, starsi nędznieją, bydło na nogach się chwieje, ale pasmo życia tych drobnych gospodarstw dalej się snuje. I można być pewnym, że jeżeli rok obecny w ostatecznym wyniku zbiorów da istotną klęskę, zaledwie kilkanaście zagonów wymknie się z rąk chłopskich i to pod naciskiem niezwalczonej nędzy. Jak owe bakterye, które nie giną przy temperaturze wrzenia, tak chłop nasz wytrzymuje warunki, które zabijają każdy inny rodzaj człowieka. Jeżeli więc pisma mniej o niego się troszczą, to w niejakiej części pod wpływem wiary w jego wytrwałość. Inna sprawa z tak zwaną szlachtą, która tego przymiotu nigdy nie posiadała i która po jednym gradzie, po jednym nieurodzaju wpada w rozpacz a często w otchłań długów. Bo rzecz dziwna, ludzie, których dochód jest zależny od warunków najkapryśniejszych, od zmian atmosferycznych, najmniej godzą się z możliwościami niepowodzenia i pragną mieć tak zapewnioną rentę gruntową, jak urzędnik emeryturę. Jeżeli majątek ziemski przynosi 3,000 rs. zysku, to może on wahać się tylko w setce lub paru setkach, inaczej jego posiadacz rzuci się samobójczo w kieszeń lichwiarską, a potem — potem już zapomni o wszystkiem, o oszczędności, rzetelności, nawet o tych klejnotach, które szczególnie w swoim rodzie i stanie sławi. Nieurodzaj, grad, wszystkie klęski gospodarcze są stworzone tylko dla chłopa, bo on na nie jest zawsze przygotowany.

No, z drugiej strony przyznać należy, że ma on daleko mniejsze wymagania. Tak np. nie chce i nie potrzebuje jechać na wystawę paryską, podczas gdy ten tylko obywatel odmawia sobie tej przyjemności, którzy unoszącej go w powietrzu pożyczce Towarzystwa nie przyczepił jeszcze ogona z wekslów Mośka i Borucha (taki „żyć" nie umie). Chociaż tegoroczny nieurodzaj wędrówki szlacheckiej nad Sekwanę nie powstrzyma, da się jednak uczuć paryżanom i złodziejom warszawskim. Ci ostatni, przewidując napływ ziomków z naładowanymi pugilaresami, wybrali się do Paryża na łowy. Ilu z nich dokonało operacyj szczęśliwie, o tem naturalnie tylko oni wiedzą. *Kuryer warsz.* pociesza nas, że dotąd znalazł się tam jeden Ajzyk Sygnet, którego zaraz po pierwszym występie złapano. Jakkolwiek genialność naszych rzezimieszków jest uznaną i ona może głównie nadaje Warszawie cechę wielkiego miasta, wątpię, ażeby szanowny Ajzyk wyjechał sam na tak niebezpieczną wyprawę. W każdym razie fakt ten przekonywa, jak silnie reklamowaną była u nas wystawa paryska i jak szeroko owładnął nami prąd zwiedzenia jej, kiedy złodzieje uważali za dobry interes zaryzykować znaczny wydatek na koszta podróży. Na francuzów, anglików itd. nie liczyli zapewnie, ale przypuszczali, że spotkają tam tłum „swoich," którym będą mogli wyłuskiwać kieszenie. Biedny Ajzyk, zamiast wieży Eiffla zwiedzi inną, mniej ciekawą, chociaż z bezpłatnem wejściem i pobytem. Jedynym jego zyskiem będzie oszczędność na kosztach podróży powrotnej. Bo nie zginie nam ten bohater, otrzymamy go jako posyłkę ubezpieczoną i nieraz jeszcze *Kuryery* pisać o nim będą: „*Znany* i odznaczony na wystawie paryskiej złodziej pobytowy Ajzyk Sygnet wczoraj ukradł wagon, naładowany węglem" itd.

Najpotrzebniejsi z nas wszystkich w Paryżu — malarze powrócili z trzema wawrzynami: Chełmoński otrzymał medal honorowy, W. Szymanowski i Horowitz — złote. Szczególne odznaczenie Chełmońskiego dało powód kilku pismom do naskrobania marchewki warszawskiemu Towarzystwu sztuk pięknych, które w zeszłym roku nie przyjęło na swoją wystawę obrazów tego artysty, czyli — jak się wyraża jeden z dzienników — „odrzuciło je." Nie znam motywów tego „odrzucenia" i przypuszczam, że nastąpiło ono skutkiem jakiejś osobistej niezgody. Bo przecież Chełmoński nie dopiero od dwu tygodni na mocy wyroku paryskiego otrzymał tytuł znakomitego malarza i już od lat wielu posiada szeroką sławę, której echa musiały dobiedz do uszu komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Jego obrazy bywają lepsze i gorsze, ale nigdy takie, ażeby nasz skromny „salon artystyczny" mógł je odprawiać od swoich drzwi. Jest to poprostu nieprawdopodobnem. A jeżeli tak było? W takim razie świadomi tej sprawy, zamiast bąkać półsłówkami, powinni ją przedstawić bez osłonek i powiedzieć wyraźnie: komitet Towarzystwa uznał obrazy Chełmońskiego za liche i niegodne pomieszczenia na swej wystawie. Wtedy będziemy wiedzieli, co o tym fakcie sądzić i rzeczywiście dojdziemy do wniosku, że to nasze „jury" może zawierać dobrych muzyków, kucharzów, szewców, literatów, prawników, ale nie znawców malarstwa. Co innego zaś odmówić przyjęcia prac jakiegoś artysty z powodu postawionych przez niego wymagań, a co innego — z powodu nieocenienia ich wartości. Przypuśćmy bowiem, iż Siemiradzki zaofiarował Towarzystwu swój utwór pod warunkiem, że dwaj członkowie komitetu będą mu służyli za modele do obrazu „Zuzanna i dwaj starcy" — komitet z pewnością nie przyjąłby tego i zrzekłby się najładniejszego płótna, ale to jeszcze nie znaczyłoby, że lekceważy talent Siemiradzkiego. Otóż może i w tym wypadku zaszło coś bodaj odległe podobnego.

P. J. Jasiński, który niedawno za pośrednictwem petersburskiego *Swieta* pozwał mnie przed sąd opinii publicznej o wmawianie weń polskości, kiedy on jest i był zawsze ruskim, a o którym przedtem nic nie wiedziałem i nie pisałem, wyznał po mojej odpowiedzi, że się pomylił. Gdyby na tem poprzestał, obaj wróciliby śmy do porząd-

ku — tj. do zupełnej nawzajem niewiadomości o sobie. Ale p. Jasiński do swego sprostowania dołączył nową próbkę maligny, która mu każe opowiadać swoje przywidzenia. Jednocześnie kiedy mu się śniło, że ja go przenarodowiam, śniło mu się również, że któreś z pism warszawskich odrzuciło przekład jego powieści tylko ze względu na jej pochodzenie. Otóż wyraziłem wątpliwość o prawdzie i tej bajki, gdyż — jak zauważyłem— „*prasa warszawska* drukuje wiele *tłomaczeń* prac autorów, którzy będąc polakami, piszą po rusku.“ Miałem na myśli p. Spasowicza, wielu profesorów uniwersytetu itd. P. Jasiński, powtarzając słowa moje, powiada: „p. Ś. nie uważa za naganne *nawet dla swych współpracowników* pisanie w Rosyi po rusku a w Polsce po polsku... Gdybym urodził się polakiem, prawdopodobnie sam nazwałbym przeniowiercą tego, który by, źle czy dobrze, zaczął służyć literaturze ruskiej. Nie spodziewałem się, że p. Ś. osobiście innego jest zdania.“ Jeżeli p. Jasiński zdolny jest obudzić się ze swej maligny i przeczytać przytoczenie moich słów, to zapewno jeszcze raz wyzna publicznie, że „się omylił“ i wprawdzie nie przyłożył— że użyję jego porównania— palca do nosa, ale włożył go w usta i wyssał z niego brednię na cudzy rachunek. O żadnych bowiem "współpracownikach“ *Prawdy* nie mówiłem i mojego zdania w przedmiocie rusko-polskiego autorstwa nie wyrażałem, tylko zaznaczyłem fakt, po za granicami naszego pisma często spełniający się. Co zaś do naszego korespondenta petersburskiego, który swoją niewinną, dwuwierszową wzmianką wywołał tę polemikę, powinien on być usprawiedliwiony za swą omyłkę tem bardziej, że popełnia ją własny ojciec p. Jasińskiego, p. Hieronim Jasiński z Horoszewic, który siebie a poniekąd i swego syna uważa za polaka i którego list własnoręczny przesyłamy do redakcyi *Swietu*. Chyba teraz już p. Jasiński-Bieliński nie powinien mieć do nas żadnej pretensyi.

*Poseł Prawdy.*

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Szkoły.** W pierwszem gimnazyum żeńskiem w Warszawie wprowadzone będą kursy pedagogiczne (dwuletnie). Każda klasa składa się z oddziałów: francuskiego i niemieckiego; w tych językach specyalnie przygotowywać się mają uczenice. Będą tam dopuszczane osoby, liczące od 18 do 22 lat, które zdadzą egzamin z ogólnego kursu wraz z uczenicami gimnazyum.

— W sprawie bezpłatnego wydawania z zakładów rządowych ogrodniczych roślin, nasion i drzewek dla szkół miejskich i parafialnych, władza wyższa postanowiła, iżby na jednorazowe zapotrzebowanie wydawano tych przedmiotów nie więcej, jak na rs. 20 dla jednej szkoły, z przesyłką na koszt żądającego zakładu. W razie większego zapotrzebowania decyduje departament rolnictwa. Zakłady naukowe obowiązane są w ciągu trzech lat składać coroczne sprawozdanie o stanie założonych ogrodów lub sadów, tudzież o wynikach kształcenia uczniów w tym kierunku. Pierwszeństwo w zakładaniu ogrodów szkolnych mają te zakłady, przy których są nauczyciele obeznani z ogrodnictwem i rolnictwem.

**Koleje.** Prezesem kolei Warszawsko-Wiedeńskiej ma być gen. Pallcyn, wiceprezesami zaś pp. L. Kronenberg i K. Górski.

— Zarządy drogi Łozowsko-Sebastopolskiej i Donieckiej ułożyły nową kombinacyę przewozu węgla z kopalni nad Donem na północ, w celu zniżenia taryfy zboża do portów czarnomorsko-azowskich przez zajęcie wagonów towarem na powrotnej drodze. Dotychczas wagony po zboże szły puste, przez co taryfa była wielce wygórowaną.

— Po ukończeniu budowy odnogi kolejowej, łączącej miasto Szpolę ze stacyą Wapniarka (na Podolu), zbudowana będzie linia od miasta Nowosielców przez Lipkany na Oknicę z dwiema bocznicami: od Oknicy przez Mohylów na Dniestrze do Żmerynki i od Oknicy przez Bielcy (na Dniestrze) do Birzuły. Ogólna długość linij wyniesie 476 wiorst. Studya inżenierskie wkrótce się rozpoczną.

— Ministeryum komunikacyi postanowiło zbudować odnogę kolei Zakaspijskiej od Samarkandy do Taszkientu, kierując się łukiem przez uprawną krainę Chodżentu w pobliżu Ferganu i kopalni węgla kamiennego.

**Ministeryum komunikacyi** wydało w tych dniach rozporządzenie, dotyczące reformy wydziałów służby na kolei Nadwiślańskiej. Już w roku zeszłym poruszoną była sprawa przeniesienia wydziołów buchhalteryjnego i handlowego z Warszawy do Petersburga; rada zarządzająca zwróciła się wówczas do ministeryum z przedstawieniem o niewłaściwości takiej zmiany. Obecnie p. minister poleca Towarzystwu przenieść wydziały najpóźniej do 13 września r. b.; w przeciwnym razie ministeryum użyje wszelkich środków, aby zniewolić do wykonania tych rozporządzeń. Wobec tego rada zarządzająca postanowiła wyznaczyć pod przewodnictwem dyrektora Gnoińskiego komisyę, do której wejdą naczelnicy wszystkich wydziałów, główny buchhalter rady, buchhalter zarządu i radca prawny. Komisya ma złożyć projekt reformy najpóźniej 27 b. m.

**Kasy oszczędności.** Liczba oddziałów kas oszczędności przy warszawskim kantorze Banku państwa ma być o dwa powiększoną. Jednocześnie podniesiono projekt założenia takich kas przy urzędach gminnych, powiatowych i gubernialnych.

**Składy zbożowe** na stacyach kolei Południowo-Zachodnich będą wybudowane: w Krzyżopolu, Nowo-Ukraince, Pyrlicy, Rożyszczu, Połonnem, Czubówce, Proskurowie, Popielni i Skinosach. Będą one służyć do użytku rolników okolicznych, wysyłających ziarno na rynki zbożowe. Koszt budowy poniosą Towarzystwo powyższych dróg.

**Proces** wytoczono w Odesie ruskiemu Towarzystwu żeglugi i handlu, które współzawodnicząc potajemnie z państwowemi instytucyami pocztowemi, zajmowało się przewozem posyłek pieniężnych, należących do osób prywatnych, skutkiem czego skarb poniósł olbrzymie straty. Zaginięcie sumy 50,000 rs. domu handlowego Anatro odkryło tajemnicę i dało powód do procesu.

**Konkursy.** Wyznaczony przez radę zarządzającą kolei Wiedeńskiej konkurs z nagrodą rs. 1,000 na projekt zaprowadzenia wzorowego gospodarstwa parowozowego, rozstrzygnięty został. Z nadesłanych trzech prac żadnej nie przyjęto, gdyż nie odpowiadają warunkom konkursu. Czwartą, pozakonkursową, uznano za najlepszą i przyjęto. Autorem jest p. Wojno, inżenier służby parowozowej kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej.

— Na konkursie *Gazety świątecznej* odznaczono nagrodą w kwocie rs. 100 powiastkę p. t. „Wdowa Kukała, siebie oszukała,“ napisaną przez Jana Kowerskiego.

— Konkurs pływazki odbył się na Wiśle koło Saskiej Kępy.

— Konkurs strzelniczy odbywa się w Warszawie.

**Stypendya.** Okrąg naukowy warszawski otrzymał zawiadomienie, że skutkiem starań tyfliskiego zarządu miejskiego w przedmiocie zmiany przepisów o stypendyach im. Loris-Melikowa, ministeryum oświaty odpowiedziało, że do czasu otwarcia uniwersytetu na Kaukazie, z zapisu tego mogą otrzymywać stypendya studenci wszystkich uniwersytetów, z pozostawieniem jednak wyboru kandydatów zarządowi miejskiemu w Tyflisie, za zgodą rady danego uniwersytetu.

**Kontrolę** inspekcyi fabrycznej zamierzono rozciągnąć na wszystkie zakłady rzemieślnicze. Jednocześnie będzie ustanowiony podatek od wszystkich warsztatów, posiadających przynajmniej 3 uczniów, na urządzenie kursów wieczornych. (*Now. Wrem.*).

**Ambulatoryum** bezpłatne dla ubogich założył dr. Fritsche w Warszawie na Tamce.

**Bibliografia.** A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, z ilustracyami Andriollego, zeszyt 6 i ostatni. Lwów, Altenberg.

— *Wisła*, kwartalnik naukowy, tom III — kwiecień, maj, czerwiec.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Panu St. Mich. w Warszawie.* Zeszyt po kop. 50; w dodatku wrześniowym będzie jeszcze arkuszy 3.

*Dr. J. W. w Ostr.* Czyż Pan potrzebuje nas przekonywać o nicości tego indywiduum, które jest może jeszcze bardziej głupie, niż złe? Daj Pan pokój polemice z przeciwnikiem, z którym nie możesz stanąć na jednym gruncie umysłowym i moralnym. Już Heine zauważył, że najtrudniejsza walka z robakiem. Doniesienie Pańskie wkrótce zużytkujemy.

*Panu A. S. w Łodzi.* Odpowiedzią na zbyt ogólne pytanie Pańskie: jakich książek używać należy przy samouctwie dla zdobycia wiedzy technicznej, mechanicznej i matematycznej — musielibyśmy zapełnić całą stronicę *Prawdy*. Najlepiej Pan zrobi, zwróciwszy się osobiście np. do p. Dicksteina w Warszawie (Erywańska 8), który z pewnością umiejętnie i życzliwie wskazówek udzieli.

*Panu M. S. w Paryżu.* Jak Pan mógł nawet przypuszczać! A i forma nieartystyczna. Są pewne wyrazy i wyrażenia, właściwe w artykule dziennikarskim, które do uroczystej poezyi nie nadają się wcale, jak nić zgrzebna do bogatej tkaniny. Muza np. nie rozumie „frakcyj“ itp.

**Uwaga.** Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.


## Ogłoszenia.

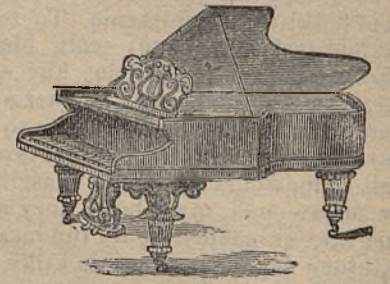
GEBETHNER I WOLFF

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Największy w Kraju

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.



Wynajem instrumentów.

SPRZEDAŻ NA RATY.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.


Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Іюня 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.